

# Barbara Cartland

## Berlińska przygoda

Bewildered in Berlin



## Od Autorki

Uraza, jaką żywił ksiązę Walii, późniejszy król Edward VII, do cesarza Niemiec, została przedstawiona w tej powieści zgodnie z prawdą. Wszystko zaczęło się w momencie, gdy cesarz został - jak to nazywał ksiązę - „mistrzem Cowes”. To ksiązę zawsze dotąd był gwiazdą corocznych regat i pełnił funkcję dowódcy Królewskiej Eskadry Morskiej i Królewskiego Klubu Jachtowego, jak również prezesa Stowarzyszenia Regat Jachtowych. Był bardzo dumny z tego, że na pokładzie swego własnego jachtu „Britannia”, który nazywał „najwspanialszym jachtem na świecie”, wygrał tak wiele mistrzostw.

W 1893 roku cesarz popsuł to wszystko, pojawiając się w Cowes na nowiutkim jachcie, zwanym „Meteor I”, którym pokonał księcia w mistrzostwach o Puchar Królowej. W roku 1895 naraził się Komitetowi Regat, ostentacyjnie wycofując „Meteora I” z wyścigu i tłumacząc, że czynione mu trudności nie są fair. Zanim jednak tego roku opuścił Cowes, co wyjaśniłam w poniższej książce, skontaktował się z George'em Lennoxem Watsonem, projektantem 300 - tonowej „Britannii” i zamówił u niego jacht, który byłby jeszcze szybszy i lepszy od „Meteora I”.

Książę Walii nie mógł tego znieść i sprzedał „Britannię”, z której był tak dumny; i chociaż odkupił ją, gdy został królem i bywał co roku w Cowes, nigdy więcej nie wziął udziału w regatach.

W 1899 roku cesarz wygrał Puchar Królowej na swym niezwyciężonym „Meteorze II”.

## Rozdział 1

ROK 1896

Lord Braydon wsiadł do pociągu, który miał go zabrać z Ostendy do Berlina. Na jego twarzy malowało się niezadowolenie i ci, którzy go znali, mogli się zorientować, że był w bardzo złym humorze. Rzeczywiście, od rana nie czuł się zbyt dobrze. Musiał przepłynąć Kanał i wyruszyć do Niemiec, aby tam spełnić coś, co nazywał „misją głupca”. Nie lubił Niemców, chociaż znał kilku, z którymi dało się wytrzymać, a co więcej, nie lubił spełniać poleceń księcia Walii, kiedy wiedział, że z góry skazane są one na niepowodzenie.

Trzy dni temu towarzyszył księciu w Królewskiej Operze w Covent Garden. Ze sposobu, w jaki Jego Wysokość na niego patrzył, wywnioskował, że zdarzy się coś niemiłego jeszcze tego wieczoru. Jak zwykle, zanim księżę przybył do Opery, pojawił się szef kuchni i sześciu lokajów niosących kosze pełne złotych talerzy, srebrnych sztuczków i jedzenia, ponieważ w czasie godzinnej przerwy serwowany był posiłek składający się z dziesięciu albo i dwunastu dań. Dla lorda Braydona, jak i dla wielu jego przyjaciół na dworze, było to śmieszne, chociaż z drugiej strony, wspaniałe jedzenie i wyborne wino przerywało na chwilę monotonię często przydługiej opery.

Po przedstawieniu, kiedy lord wraz z księciem wrócili do pałacu Marlborough, lord Braydon uczuł, że księżę szuka sposobności do rozmowy z nim. Było to jednak niemożliwe ze względu na obecność księżniczki Aleksandry. Lord Braydon miał nadzieję, iż uda mu się wymknąć, kiedy księżniczka się odwróci, ale księżę okazał się, niestety, szybszy.

- Chcę z panem porozmawiać, Braydon - powiedział i, mimo że miało to być sotto voce, reszta towarzystwa usłyszała go, zaczęła żegnać się i wychodzić.

Lord Braydon czekał tymczasem z tyłu nieco zaniepokojony. Był to wysoki i wyjątkowo przystojny mężczyzna, cieszący się niezwykłym powodzeniem wśród pięknych kobiet, które jednak przyciągały jego uwagę tylko na krótko, to znaczy do momentu, gdy już się taką panią znudził. Głównym problemem lorda we wszystkich affaires de coeur pozostawało niezmiennie to samo - szybko czuł się znudzony ich, jak to nazywał, „oczywistą monotonią”. Tęsknił za przeżyciem niezwykłym, oryginalnym, innym. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że żąda od życia zbyt wiele, gdyż los już i tak okazał się dla niego łaskawy. Posiadał stary tytuł szlachecki i był niezwykle bogaty. Dom jego przodków w Oxfordshire należał do najpiękniejszych i najbardziej efektownych w Anglii, stajni mu zazdrozczono nie tylko w jego własnym kraju, ale i we Francji, a jego konie wyścigowe dawały wystarczający powód do regularnego odwiedzania najweselszej stolicy w Europie.

I był jeszcze jeden powód jego złości. W porcie czekał bowiem pociąg na tych, którzy przepłynęli Kanał z Dover i Folkestone, aby udać się do Paryża. Lord Braydon, który płynął swym własnym jachtem, przybył do portu równocześnie z parowcem i widok pasażerów jadących do Francji sprawił, że wizja podróży do Berlina stała się dla niego jeszcze bardziej irytująca.

Służący lorda, Watkins, który zawsze z nim podróżował, dopilnował, aby wszystkie rzeczy, niepotrzebne lordowi podczas podróży, zostały umieszczone w sąsiednim przedziale, gdzie zresztą - zgodnie z życzeniem swego pana - on sam miał się znajdować. Było to dla lorda bardzo wygodne, gdyż, po pierwsze, miał swego służącego pod ręką, a po drugie, nie musiał obawiać się innych pasażerów, którzy często budzili go w nocy trzaskając drzwiami czy głośno

rozmawiając. Przyjaciele lorda uważali ten układ za ekstrawagancję, ale on na to zwykle odpowiadał:

- Najważniejszą rzeczą, na którą powinno się wydawać pieniądze, jest wygoda - a oni nie mogli zaprzeczyć, gdyż stanowiło to również ich maksymę życiową.

Kiedy Watkins wręczył napiwek bagażowemu, powiedział, zresztą całkiem niepotrzebnie:

- Gdyby Wasza Lordowska Mość mnie potrzebował, jestem obok.

Lord Braydon nawet nie silił się na odpowiedź, usiadł na jeszcze złożonym łóżku i zaczął się zastanawiać, kiedy uda mu się wyrwać z Berlina i kiedy będzie musiał poinformować księcia Walii, czego był najzupełniej pewien, że jego zadanie nie zostało wykonane pomyślnie. Już teraz bowiem wiedział, że misja zakończy się fiaskiem. Przecież tylko księżę Walii mógł wymyślić coś równie absurdalnego, jak próbę zdobycia informacji na temat nowego niemieckiego programu dotyczącego uzbrojenia marynarki wojennej! Stosunki księcia z Niemcami nigdy nie były najlepsze. Zaczęło się od jego sympatii do Francji podczas wojny francusko - pruskiej. Następnie księżę wraz z siostrą poparli związek księcia Aleksandra z Battenburga z księżniczką Wiktoria, córką księcia Prus, następcy tronu pruskiego. Potem księżę Walii odkrył, że jego bratanek, księżę Wilhelm jest nieznośnym młodym człowiekiem, który obraża królową Wiktorię, w rezultacie czego odwołano wizytę księcia Wilhelma w Anglii i pozostał on w Niemczech. Wilhelm mawiał często o swoim wuju „nadęty paw”, a babkę nazywał „starą wiedźmą”. Odtąd księżę Walii po prostu go ignorował. W 1888 roku, w wieku dwudziestu dziewięciu lat, Wilhelm został cesarzem. Księżę Walii nie ukrywał niechęci do nowego władcy i wypowiadając się o bratanku rzadko trzymał język za zębami. Nazywał go „Wilhelmem Wielkim” i był wściekły widząc, że ten nie

pozostaje mu dłużny. Jednakże, pomimo waśni, niemiecki monarcha przybył do Anglii w 1889 roku z mocnym postanowieniem, że będzie miły. Po tym wydarzeniu sprawy nieco się poprawiły, aż do momentu, gdy cesarz zdecydował się zostać - jak mawiał książę - „mistrzem Cowes”.

Dotychczas książę zawsze stawał się gwiazdą dorocznych regat. Był dowódcą Królewskiej Eskadry Morskiej, a na swym jachcie „Britannia” wygrał wiele ważnych regat. „Britannię” uważano za najwspanialszy jacht na świecie. Ale cesarz wszystko popsuł, pokonując księcia w wyścigu o Puchar Królowej. Od tej pory wykorzystywał Cowes jako miejsce pokazów najnowszych okrętów wojennych marynarki niemieckiej.

Rok wcześniej, w 1895, przybył na jachcie „Hohenzollern”, eskortowanym przez dwa najnowsze niemieckie okręty wojenne „Worth” i „Weissenburg”, które zostały tak nazwane na cześć zwycięstw w czasie wojny francusko - pruskiej. Tegoż roku cesarz naraził się Komitetowi Regat, ostentacyjnie wycofując swój żaglowiec z wyścigu o Puchar Królowej, mówiąc, że czynione mu trudności są nie fair, a potem z premedytacją był niegrzeczny w stosunku do wuja podczas obiadu na pokładzie „Osborne'a”.

Uraza, jaką żywił książę Walii do cesarza stała się ogólnie znana na dworze angielskim, dlatego też lord Braydon nie zdziwił się zbytnio, gdy usłyszał, kiedy zostali sami w salonie:

- Chcę aby coś pan dla mnie zrobił, lordzie Braydon, i wiąże się to z wyjazdem do Niemiec.

Lord Braydon nic nie odpowiedział, tylko obserwował księcia, który nerwowo chodził po pokoju.

- Słyszałem z pewnego źródła, że mój bratanek, cesarz, posiada nowe działo morskie, które jest lepsze i celniejsze niż jakiegokolwiek, którym my dysponujemy - przerwał na chwilę, po czym mówił dalej; - Wiem, że włada pan kilkoma

językami, a po niemiecku mówi jak rodowity Niemiec, więc jest pan jedyną osobą, która może się czegokolwiek na ten temat dowiedzieć.

- Nie wiem, czy to możliwe, Wasza Wysokość - odparł lord Braydon. - Jeśli to tajemnica, Niemcy dobrze jej strzegą i nie mogę oczekiwać, aby chcieli o tym ze mną rozmawiać.

- Chcę wiedzieć co to takiego - z uporem powtórzył książę. - Jeśli budowane przez nich okręty są uzbrojone w lepsze działa od naszych, może to być dla nas niebezpieczne.

Lord Braydon zrozumiał, że książę jest przekonany, jak wielu innych ludzi, że wcześniej czy później Niemcy zaatakują Anglię na morzu. Ogólnie znany był fakt, że cesarz zazdrości Wielkiej Brytanii jej wielkiego imperium i głośno mówi o „życiowej przestrzeni”, którą pragnąłby zapewnić Niemcom.

Lord Braydon wiedział, że żadna argumentacja nie przekona księcia, dlatego powiedział:

- Pojadę do Niemiec i zrobię co w mojej mocy, ale mam nadzieję, że Wasza Książęca Mość nie oczekuje cudów. - Książę chciał coś wtrącić, ale pozwolił lordowi kontynuować. - Wątpię, czy zdołam przywieźć Waszej Książęcej Mości jakiegokolwiek informacji, które nie są mu już znane - miał to być delikatny komplement wobec księcia, gdyż królowa nadal nie dopuszczała syna do wszystkich tajemnic państwowych i nie pozwalała mu brać udziału w ważnych konferencjach. Książę więc robił wszystko, aby dowiedzieć się, co przed nim ukrywają. Lubił myśleć, że jest „wtajemniczony”. Lord Braydon rozumiał więc, że gdyby rzeczywiście udało mu się zdobyć jakieś ciekawe informacje, zanim zrobi to Ministerstwo Spraw Zagranicznych czy Marynarka Wojenna, jego pozycja bardzo by się poprawiła.

Książę położył rękę na ramieniu lorda:

- Jest to dla mnie ważne, Braydon - powiedział - a wiem, że udawały się panu poprzednie misje, o których lepiej nie wspominać.

- Lepiej nie, Wasza Wysokość - pospiesznie odparł lord, wiedział bowiem, że księżę, szczególnie w towarzystwie pięknych kobiet, lubi być niedyskretny.

- Wyruszy pan natychmiast? - spytał księżę.

- Pojutrze - obiecał lord.

Braydon wrócił do swego dużego i wygodnego domu na Park Lane. Już następnego dnia wyładował złość na służących i kilku przyjaciółach, ku ich wielkiemu zdziwieniu. Lord bowiem zazwyczaj był powściągliwy, zamknięty w sobie i umiał się kontrolować, rzadko ujawniając swoje prawdziwe uczucia. Był zabawny, dowcipny i, o czym wiedział księżę Walii, nieprzeciętnie inteligentny. Czasem jednak wzbudzał lęk i to nawet w ludziach, którzy go dobrze znali i podziwiali. Dla wielu pięknych kobiet stanowił zagadkę, której nie potrafiły rozwikłać.

- Kocham cię, Oswin - powiedziała mu pewna piękność kilka dni temu - ale zawsze mam wrażenie, że nie znam cię do końca.

- Co masz na myśli? - spytał lord Braydon.

- Jest w tobie coś, czego nie potrafię zgłębić - odparła - i to jest nie fair. Ja ofiarowuję ci miłość, serce, ciało, wszystko co posiadam, a ty dajesz mi tak niewiele w zamian.

Lord nie odpowiedział, pocałował ją tylko i przez chwilę poczuła się szczęśliwa, odnajdując w nim ognistego kochanka. Jednakże, kiedy wyszedł, uświadomiła sobie, że należy do niej tylko niewielka jego część, gdyż reszta zamknięta jest gdzieś „w sekretnym miejscu”, do którego ona nie ma żadnego dostępu.



- Obiecaj, że nie przestaniesz o mnie myśleć, gdy wyjedziesz - powiedziała mu ostatniej nocy przy pożegnaniu ta sama kobieta.

- Będę liczył godziny do powrotu - odparł lord Braydon.

Próbowała potraktować to jako komplement, gdyż dobrze wiedziała jak bardzo lord nie chce opuszczać w tej chwili Londynu. Czowała jednak, że nie do niej będzie tak tęsknił, ale raczej do swego prywatnego życia i własnych spraw.

Teraz, kiedy pociąg ruszył, lord Braydon otworzył gazetę, którą Watkins położył obok niego. Nie myślał o żadnej kobiecie, którą zostawił, ale o straconym czasie, jakim była zapewne cała ta podróż.

Zanim wyjechał, poszedł do Ministerstwa Spraw Zagranicznych, aby porozmawiać z ministrem. Błędem byłoby ukrywać coś przed markizem Salisbury. Kiedy opowiedział mu, o co poprosił go książę, markiz rzekł:

- Zgadzam się z panem, Braydon, to na pewno okaże się stratą czasu. Ale z drugiej strony, może pan będzie miał więcej od nas szczęścia.

- Próbował się pan dowiedzieć czegoś o tej armacie?

Markiz skinął głową.

- Jest tam w tej chwili jeden z moich najlepszych ludzi, ale już od ponad miesiąca nie miałem od niego żadnych wiadomości. Przypuszczam więc, że wróci z pustymi rękami. Jeśli chodzi o szpiegów, Niemcy są fanatycznie ostrożni i na pewno bardziej strzegą swych sekretów niż my.

- Czy wierzy pan, że to działa rzeczywiście istnieje? - spytał lord Braydon.

Markiz wzruszył ramionami:

- Nasi najbardziej doświadczeni eksperci od marynarki wojennej twierdzą, że nie można stworzyć lepszej broni od tej, którą posiadamy. Z drugiej jednak strony, Niemcy są znani z bardzo odważnych i niezwykłych eksperymentów.

Lord Braydon podniósł się z fotela i odchodząc powiedział:

- Postaram się wrócić na czas, aby zobaczyć moje konie w gonitwie w Newmarket. To jeszcze jeden powód, dla którego ten wyjazd jest mi akurat w tej chwili nie na rękę.

- Tak mi przykro - powiedział markiz, uśmiechając się - ale jednocześnie jestem wdzięczny księciu Walii. Jeśli ktoś potrafi dokonać czegoś niemożliwego, to właśnie pan!

- Pochlebia mi pan - odparł lord Braydon - ale nawet to nie przekona mnie do tej podróży.

Przeglądając gazetę w pociągu, lord jeszcze raz poprzysiął sobie, że księżę Walii czy nie księżę Walii, a on i tak nie straci więcej czasu niż to konieczne. Już zdecydował, komu złoży wizytę w Berlinie, a nawet wymyślił wiarygodny pretekst swojej wizyty w stolicy Niemiec. Postanowił również odwiedzić pewną piękną Rosjankę, którą znał kilka lat temu, a która była teraz żoną sekretarza stanu na dworze cesarskim. Jeśli nadal jest taka piękna jak niegdyś i jeśli lord dojrzy zaproszenie w jej ciemnych oczach, wyprawa ta może mieć jakieś przyjemne strony.

Po godzinie podróży w drzwiach przedziału pojawił się Watkins z obiadem na tacy. Wprawdzie w pociągu znajdował się wagon restauracyjny, ale lord nie miał ochoty przedzierać się przez kilka wagonów, tylko po to, by zjeść, jego zdaniem, niezbyt smaczny posiłek. W związku z tym kucharz już na jachcie przygotował specjalny kosz, w którym były ulubione dania lorda.

Najpierw Watkins wniósł chybotliwy stolik z sąsiedniego przedziału i nakrywszy go białym obrusem z monogramem lorda, zaserwował obiad składający się z czterech dań. Na początku pasztet i zupa, która dzięki specjalnemu koszykowi zachowała, podobnie jak inne dania, odpowiednią temperaturę. Do tego wyśmienity szampan, a następnie bordo,

które stało w piwnicach przez wiele lat. Obiad zakończyła filiżanka kawy.

Po posiłku lord Braydon uraczył się jeszcze kieliszkiem brandy, które jego dziadek kupił pod koniec ubiegłego stulecia. Usiadł wygodnie i od razu poczuł się dużo lepiej. Dopiero kiedy zaczął go morzyć sen, zawołał Watkinsa, aby ten przygotował mu łóżko. Służący wezwał stewarda opiekującego się wagonem i, podczas gdy dwaj mężczyźni ścielili łóżko, lord wyszedł na korytarz. Wpatrywał się w ciemność. Jaka szkoda, że zamiast do Paryża, musi jechać do Berlina. Kilkoro ludzi przeszło obok niego, ale, zamyślony, nawet ich nie zauważył.

Po chwili usłyszał Watkinsa:

- Wszystko gotowe, Wasza Lordowska Mość.

Z ulgą powrócił do przedziału. Łóżko wyglądało zachęcająco i już miał się rozbierać, gdy ktoś zapukał do drzwi. Nie miał pojęcia, kto to mógł być. Zanim zdążył odpowiedzieć, znów rozległo się niecierpliwe pukanie, jakby ten ktoś za drzwiami bardzo się spieszył.

- Proszę wejść! - powiedział ostro lord Braydon i drzwi się otworzyły. Ku swojemu zdziwieniu ujrzał młodą kobietę. Była niezwykle piękna, zauważył jej duże, wyraziste oczy w drobnej, raczej bladej twarzy. Ku jego zdziwieniu kobieta weszła do przedziału i zamknęła za sobą drzwi. Lord Braydon siedział na łóżku i nie zrobił żadnego wysiłku, aby się podnieść. Kobieta przytrzymała się ściany dla złapania równowagi i powiedziała:

- Prze... przepraszam, że... przeszkadzam, proszę... mi... wybaczyć, ale... ale potrzebuję pańskiej pomocy.

- Mojej? - spytał zdziwiony lord.

- Wiem... wiem, kim pan jest... i... ponieważ jest pan Anglikiem, więc... pomyślałam, że ...może zechciałby mi pan... pomóc.

- W jaki sposób?

Kobieta obejrzała się za siebie, jakby w obawie, że ktoś ją usłyszy i powiedziała:

- Ten mężczyzna... on jest Niemcem... usiadłam naprzeciwko niego w wagonie restauracyjnym... i on... teraz nie chce... dać mi spokoju. - Głos jej się załamał, ale już po chwili mówiła dalej. - Opuścił mnie na chwilę... ale powiedział, że wróci... i chociaż mogę zamknąć drzwi, boję się... jest taki nachalny... boję się, że może przekupić stewarda albo... albo w jakiś inny sposób otworzyć drzwi.

Lord Braydon zazwyczaj trafnie oceniał ludzi, dlatego od samego początku, gdy tylko zobaczył dziewczynę, wiedział, że ma ona jakiś osobisty problem. Czuł też, że mówi całkowitą prawdę i że jest rzeczywiście przestraszona.

- Naprawdę... bardzo... bardzo... przepraszam - znów się odezwała. - Przepraszam, że pana niepokoję, ale... ale nie wiem, co robić.

Ruch pociągu lekko ją kołysał i lord Braydon zaproponował:

- Proszę usiąść i powiedzieć kim pani jest i skąd wie kim ja jestem.

Posłusznie przycupnęła na brzegu łóżka i zwróciła się twarzą do niego. Ściągnęła kapelusik; jej włosy nie były może zbyt modnie uczesane, ale miały piękny złocisty odcień. Szarozielone oczy przypominały górski strumień, w ciemnych źrenicach gdzieś głęboko czaił się strach.

- Wiem o panu z gazet. Także i to, że posiada pan wspaniałe konie.

- Tak mówią - odparł nieco sucho lord Braydon. - A teraz proszę mi opowiedzieć o sobie. Z pewnością nie podróżuje pani sama?

Dziewczyna odwróciła głowę w zakłopotaniu.

- Zdaję sobie sprawę, że to... niestosowne, ale moja służąca starzeje się i akurat przed samym wyjazdem zachorowała... a nie było nikogo innego, kogo mogłabym poprosić tak od razu.

- Powie mi pani swoje nazwisko? - zapytał.

- Loelia... Johnson - między dwoma wyrazami pojawiła się krótka przerwa, i lord zorientował się, że dziewczyna kłamie.

- I jedzie pani do Berlina?

Skinęła głową. Już miał ją spytać, czy ktoś po nią wyjdzie, gdy przyjedzie do tego dużego, niebezpiecznego miasta, ale zreflektował się, myśląc, że wielkim błędem byłoby angażowanie się w sprawy młodej, nieznanego mu kobiety akurat w tym szczególnym momencie. Po chwili milczenia powiedział:

- Zdaję sobie sprawę, że samotnej kobiecie nie jest łatwo podróżować. Czy domyśla się pani kim jest ten mężczyzna?

- Powiedział, że jest baronem i nazywa się Frederick von Houssen.

Lord postanowił zapamiętać to nazwisko.

- Mogę dla pani, panno Johnson, jako dla współtowarzyszki podróży i rodaczki, zrobić tylko jedną rzecz, to znaczy mogę poprosić mojego służącego, który ma przedziać obok, aby się z panią zamienił.

Oczy Loelii zajaśniały.

- Czy... naprawdę... mógłby pan to dla mnie zrobić?

- Jestem pewien, że ten człowiek nie będzie już pani niepokoił.

- Och, dziękuję panu, tak bardzo dziękuję. Jestem taka wdzięczna, że nie potrafię tego nawet odpowiednio wyrazić. Nigdy... nigdy nie przypuszczałam, że mogę mieć tego typu kłopoty.

- Chcę tylko powtórzyć, że zawsze błędem jest, gdy młoda kobieta, taka jak pani, podróżuje samotnie.

- Teraz już o tym wiem i postaram się, aby się to więcej nie zdarzyło.

Lord Braydon wstał.

- Proszę tu zostać, a ja porozmawiam z moim służącym - wyszedł z przedziału, zamykając za sobą drzwi. Zawołał Watkinsa, który nie zaczął się jeszcze rozbierać i opowiedział mu, co się wydarzyło.

- To mnie nie dziwi - powiedział Watkins. - Wszyscy cudzoziemcy są tacy sami. Myślą, że samotna kobieta stanowi łatwą zdobycz.

- Nic nie możemy na to poradzić, Watkins - powiedział lord szybko - ale jeśli zamienisz się na przedziały z panną Johnson, na pewno poradzisz sobie z tym kochliwym baronem, kiedy wróci.

Watkins roześmiał się szeroko:

- Proszę to już mnie zostawić, Wasza Lordowska Mość.

Watkins wszedł do swego przedziału, aby spakować rzeczy, a lord Braydon powrócił do panny Johnson. Siedziała nadal na skraju łóżka i - jak wydawało się lordowi - modliła się, gdyż miała złożone ręce i zamknięte oczy.

- Wszystko załatwione - rzekł lord Braydon. - Mój służący da mi znać jak tylko przeniesie rzeczy do pani przedziału, a pani bagaże do swojego.

- Jest pan... taki miły - powiedziała Loelia - i taki sprytny... dokładnie tak jak myślałam.

- A dlaczego pani tak myślała?

Dziewczyna nie odpowiedziała. Lord pomyślał, że może wyrwały się jej te słowa mimo woli i teraz tego żałowała.

- Zadałem pani pytanie - odezwał się po chwili.

- Ja po prostu... często słyszałam, jak mój ojciec się o panu wypowiadał... i inni ludzie też zawsze mówią jaki pan jest sprytny, inteligentny.

- Sprytny! - powtórzył lord Braydon. - Nie mam pojęcia dlaczego tak o mnie myślą.

- Teraz jest pan skromny - odparła Loelia.

Lord Braydon wiedział, że w kręgach, w których się obracał nie uważano go za sprytnego, ale raczej za atrakcyjnego i przystojnego mężczyznę, który urządzał wspaniałe przyjęcia. Jedynie tacy ludzie jak markiz Salisbury, książę Walii czy kilku ministrów, z którymi czasem pracował, widzieli w nim innego człowieka. Dlatego dziwne mu się wydało, że ta siedząca przed nim dziewczyna mówiła o nim w taki sposób.

- Czy pani ojciec sprecyzował w jakim sensie jestem sprytny?

- Nie... nie, oczywiście, że nie. Takie po prostu odniosłam... wrażenie i przecież... tak szybko wiedział pan jak mi pomóc.

Lord Braydon wyczuł, że w tym co powiedziała kryje się daleko więcej niż wyszło na jaw. Jeszcze raz obiecał sobie w duchu, że nie będzie się angażował i postara się, aby ich znajomość była najzwyklejsza na świecie. W tym momencie drzwi się otworzyły i pojawił się Watkins.

- Wszystko przygotowane, panienko, pani rzeczy są w przedziale obok.

- Bardzo... bardzo dziękuję - powiedziała Loelia i wstając zwróciła się do lorda - jeszcze raz dziękuję panu, lordzie, jestem bardzo, bardzo wdzięczna - powiedziawszy to, szybko wyszła z przedziału.

Lord Braydon przez chwilę słyszał jej cichy głos, gdy mówiła coś do Watkina, zanim drzwi się zamknęły. Zapanowała cisza.

Lord zamknął swoje drzwi i zaczął się rozbierać. Cały czas jednak myślał o tym dziwnym spotkaniu i o tym, że panna «Johnson» - był pewien, że nie jest to jej prawdziwe nazwisko - nazwała go sprytnym. Nie pomogłoby to jego misji, gdyby Niemcy też uważali go za sprytnego. Ponownie przemyślał historię, jaką przygotował na usprawiedliwienie swej wizyty w Berlinie w samym środku londyńskiego sezonu.

Położył się, ale nie mógł zasnąć. Myślał o dziewczynie z sąsiedniego przedziału. Naprawdę nie rozumiał, jak taka młoda osoba mogła podróżować sama! Z pewnością była damą i mało prawdopodobne żeby jakikolwiek rodzic czy opiekun mógł ją puścić w tak daleką podróż bez opieki. W tym momencie lord przypomniał sobie jej powściągliwość w sprawie swojego nazwiska. Może więc ucieka, a jeśli tak, to od kogo? Po chwili jednak zreflektował się - zachowywał się śmiesznie. Cokolwiek robiła tu ta dziewczyna, nie było to jego sprawą i nie powinien tracić czasu na myślenie o niej, lecz planować w jaki sposób wypełni swą misję.

Pociąg pędził wśród ciemności. Nie mogąc zasnąć lord Braydon myślał o tym, że wspomnienie szarzielonych, pełnych strachu oczu, nie opuszcza go ani na chwilę.

Do Berlina przybyli wczesnym rankiem. Lord Braydon nie spieszył się, wiedząc, że pociąg będzie stał na stacji dopóki wszyscy pasażerowie nie wysiądą. Kiedy się ubrał i kiedy Watkins spakował pościel, wybiła dziewiąta. Nie był zdziwiony zauważywszy, że drzwi sąsiedniego przedziału są otwarte, a jego pasażerka zniknęła.

Na stacji czekał już na niego powóz z Ambasady Brytyjskiej. W drodze lord Braydon powiedział do Watkina:

- Czy ten baron, który zaczepiał wczoraj pannę Johnson, przyszedł w nocy do jej przedziału?



- Tak, mój panie, i powiedziałem mu co myślę. Zaczął mnie przeklinać, ale przecież mocne słowa nie łamią kości.

Lord Braydon zastanawiał się, czy ktoś wyszedł po Loeilę na stację i czy udało jej się wymknąć bez powtórnego spotkania z natrętnym baronem.

Ambasada brytyjska została, oczywiście, powiadomiona o przyjeździe lorda, ale nie zamierzał się on tam zatrzymać. Wiedział, że to ograniczyłoby jego ruchy, a ponadto byłoby mu trudniej dowiedzieć się interesujących go rzeczy, bez wzbudzania komentarzy wśród personelu ambasady. Dlatego też poprosił o pomoc przyjaciela, który pracował w ambasadzie niemieckiej w Londynie, a ten chętnie udostępnił mu swoje mieszkanie w kamienicy, zorganizowanej właściwie hotelowo, z tym wyjątkiem, że apartamenty wynajmowano tu na rok i lokatorzy sami je meblowali i zatrudniali własną służbę.

Lord Braydon przybył więc do mieszkania swego przyjaciela. Zajmowało ono całe trzecie piętro kamienicy, było bardzo wygodne, wspaniale urządzone, z całym możliwym luksusem, włączając w to spory zapas wina. Nawet Watkins, któremu zwykle nie podobały się miejsca, gdzie lord się zatrzymywał, powiedział:

- Na pewno jest to lepsze od tych wszystkich marnych hoteli, w jakich zazwyczaj mieszkamy.

- Zgadzam się z tobą Watkins, i nawet bałem się, że będziemy musieli wybrać jeden z tych „marnych hoteli”, gdyż nie byłem pewien, czy ten apartament okaże się wystarczająco wygodny.

Następnie lord powysyłał listy, które napisał jeszcze w Anglii. Były zaadresowane do różnych ludzi, z którymi chciał się zobaczyć podczas pobytu w Berlinie. Przewornie nie wybrał tylko tych związanych z niemiecką marynarką

wojenną. Jedynym wyjątkiem był kapitan „Weissenburga”, którego spotkał niegdyś na przyjęciu w Cowes.

Już tego samego popołudnia otrzymał dwa zaproszenia na wieczór i kilka innych na dzień następny. Wybrał kolację z baronem von Krozingenem, którego spotkał kiedyś w pałacu Marlborough. W liście do barona napisał, że przywozi specjalne wiadomości od księcia Walii i zgodnie z przewidywaniami przykuło to uwagę barona. Zaproszenie napisała baronowa, oświadczając, że ona i jej mąż z największą przyjemnością oczekują jego wizyty o godzinie ósmej.

Kiedy lord się ubierał, myślał o Londynie. Tak bardzo chciałby tam teraz być. Mógłby pójść do pałacu Marlborough, gdzie zawsze się dobrze bawił albo zjeść kolację z jakąś piękną kobietą, której mąż akurat byłby zajęty. Zamiast tego został skazany na jakieś sztywne, co z góry przewidywał, przyjęcie w Berlinie, z tłustym jedzeniem, zwyczajnymi winami i sztuczną konwersacją.

- Diabli by to wzięli! - wykrzyknął. - Dlaczego w ogóle się na to zgodziłem, skoro jest całkiem pewne, że nie odkryję niczego, co nie byłoby już znane naszej marynarce wojennej.

Wiedział, że odpowiedź na to pytanie jest prosta: nie mógł odmówić księciu Walii. Nie tylko dlatego, że był on jego władcą, ale i dlatego, że współczuł mu z powodu złego traktowania przez matkę. Królowa nie dopuszczała go do spraw wagi państwowej i, mimo że był on już w średnim wieku, nadal traktowała go jak małego chłopca.

- Muszę się czegoś dowiedzieć - powiedział do siebie lord - czegokolwiek!

Kiedy zszedł na dół, polecił Watkinsowi:

- Może to nie będzie konieczne, ale przyjedź po mnie około dwudziestej drugiej trzydziści do domu barona von

Krozingena. Może będę miał okazję jeszcze gdzieś pójść, a może nie... mimo wszystko wolę mieć cię ze sobą.

- Przewidywałem, że Wasza Lordowska Mość tak powie, dlatego od razu zorganizowałem powóz, aby był do naszej dyspozycji.

- Naprawdę? - zdziwił się lord.

- Wiem, że Wasza Lordowska Mość zwykle coś planuje i dlatego chcę się znajdować w pobliżu, gdy Wasza Lordowska Mość będzie kogoś „mordować”.

Była to czysta impertynencja, której lord Braydon nie zniósłby od nikogo z wyjątkiem Watkina, który zajmował szczególne miejsce w jego życiu.

- Wątpię, że nastąpi jakiś „mord” i byłoby błędem się na to przygotowywać.

- Wiem, mój panie, ale dobrze jest przygotować się na wszystko.

Sposób, w jaki Watkins to mówił, spowodował, że lord Braydon roześmiał się, po czym wyszedł z budynku. Wsiadł do wygodnego powozu, powożonego przez tego samego człowieka, który go tu przywiózł. Kiedy ruszyli, lord pomyślał, że to szczęście mieć Watkina przy sobie. W przeszłości rzeczywiście przeżyli razem wiele niebezpiecznych sytuacji, ale tym razem lord nie spodziewał się niczego niezwykłego.

## Rozdział 2

Przyjęcie okazało się tak nudne, jak przewidział lord Braydon. Gośćmi byli ludzie w średnim wieku, pompatyczni, przekonani o wyższości tego, co niemieckie.. Ale lord specjalnie przyjął zaproszenie barona von Krozingena, gdyż był poinformowany, że ma on dobre dojście do planów obrony kraju i powinien wiedzieć o sprawach z tym związanych. Baron był człowiekiem nieco wolno myślącym i głęboko wierzył, że jest ważną personą. Podczas całej kolacji mówił o europejskiej polityce i wypowiadał się w nieco agresywny sposób o prawie, co zdenerwowało lorda Braydona. Nie wziął on jednak udziału w dyskusji, gdyż czuł, iż nie powinien się wdawać w dysputy z człowiekiem, który może okazać się cenny dla jego planów. Cały wieczór starał się więc być miły dla pani domu i dla innych gości. Jedyną rzeczą, która w czasie przyjęcia nieco go rozchmurzyła, była myśl o następnym dniu, kiedy to miał się wybrać na spotkanie z księżniczką, która natychmiast odpowiedziała na jego liścik. Bardzo się na to spotkanie cieszyła, zastrzegła jednak, że gości u siebie kilku przyjaciół, więc prawdopodobnie dopiero po kolacji, kiedy goście położą się spać (co może nastąpić dość szybko, jako że są to starsze osoby), będą mieli z lordem czas na małe tete - a - tete. Lord uśmiechnął się, zdając sobie sprawę, co takie tete - a - tete znaczy i pomyślał, że to spotka nie osłodzi mu znacznie pobyt w Berlinie.

Przyjęcie ciągnęło się bez końca. Goście raczyli się olbrzymimi porcjami dziczyzny, klusek, kapusty i szarlotki. Były to dania, których lord nie cierpiał i zawsze unikał. Wiedział, że aby utrzymać, ciało w dobrej formie, musi dbać o odpowiednią dietę, ale również uprawiać sport. Regularnie wiec ćwiczył boks i szermierkę, a kiedy przebywał w kraju, całymi dniami jeździł konno. To sprawiało, że nie miał na sobie ani grama tłuszczu, a wiele kobiet mówiło, mu, że

wygląda jak grecki bóg. Tak więc na przyjęciu nakładał sobie na talerz bardzo małe porcje i właściwie zjadł niewiele więcej niż łyżkę z każdego serwowanego dania. Wino było nieco lepsze niż jedzenie, ale i tak nie mogło się równać z jego własnymi trunkami lub z tymi, które zwykle podawano w pałacu Marlborough.

W końcu, gdy panie opuściły salon, lord Braydon pomyślał, że mógłby się wymknąć, jednakże baron go zatrzymał, mówiąc ściszone głosem:

- Po obiedzie mam dla pana coś specjalnego, mój drogi chłopcze!

- Coś specjalnego? - zdziwił się lord, podnosząc brwi.

Baron spojrzał na niego znacząco i lord poczuł się trochę nieswojo. Kiedy wszyscy goście wyszli, baron trącił lorda ramieniem i powiedział:

- Teraz możemy się zabawić!

Lord Braydon chciał powiedzieć, że jest umówiony na jakieś spotkanie, ale po namyśle zrezygnował z tego. Wiedział, że jeśli ma wyciągnąć coś od barona, co uważał raczej za nieprawdopodobne, ta jedyną szansą będzie dotrzymanie mu towarzystwa. Miał nadzieję, że ponieważ baron dość dużo wypił podczas kolacji, może okazać się niedyskretny. Lord Braydon pożegnał więc panią domu, która bynajmniej nie wydawała się zdziwiona że baron wychodzi bez niej. Mężczyźni wyszli z pałacu i wsiedli do okazałego, dużego powozu gospodarza czekającego na nich na zewnątrz. Kiedy lord wsiadał, obejrzał się za siebie szukając wzrokiem Watkina. Wiedział, że służący pojedzie za nim, jak to nieraz się zdarzało w przeszłości. Już wcześniej przekonał się, że jeśli zgodził się na odwiezienie z jakiegoś przyjęcia powozem gospodarza, bardzo trudno było się z niego wymknąć. Dlatego też utwierdził się w przekonaniu, że najlepiej mieć własny środek transportu. Wiedział także, że Watkins, który mówił

kilkoma językami europejskimi, był niezwykle użyteczny, gdyż dzięki temu mógł dowiedzieć się interesujących rzeczy od innych służących w domu, który udzielał im gościny.

Lord Braydon usiadł obok barona. Lokaj okrył ich nogi lekkim kocem i kiedy zamknął drzwi, gospodarz powiedział:

- A teraz, mój drogi Braydon, będę mógł odwdziżyć się za pańską gościnność, którą uraczył mnie pan ostatnim razem w Londynie.

Lord przypomniał sobie, że zaprosił barona i baronową na duże przyjęcie, jakie wydawał w swym domu na Park Lane. Umieścił ich na liście gości, tylko dlatego że zatrzymali się oni w ambasadzie niemieckiej, a ponieważ zaprosił ambasadora, nietaktem byłoby opuszczenie ich nazwisk.

- Okazał się pan tak miły - mówił baron - i dzięki temu miałem okazję poznać księcia Walii.

- Jestem pewien, że książę bardzo był zadowolony ze spotkania z panem - wymamrotał lord dyplomatycznie.

- Wielka szkoda - kontynuował baron - że on i nasz cesarz się nie lubią i często sprzecniają się na temat naszych okrętów.

- Roześmiał się, jakby to był doskonały dowcip, potem trącił lorda w żebra i powiedział: - Teraz zamierzam panu pokazać śliczne okazy, o które na pewno nie będziemy się sprzeczać, i proszę się czuć moim gościem.

Przez moment lord Braydon nie rozumiał, co dokładnie baron miał na myśli. Dopiero, kiedy wyjechali ze wspaniałej alei, przy której mieszkał baron i znaleźli się w powszechnie znanej części miasta, zrozumiał. Baron proponował mu wizytę w - jak się to delikatnie nazywało - „domu rozkoszy”.

Ponieważ lord był niezwykle wymagający, miał żelazną zasadę, inną niż jemu współcześni, nigdy nie mieć kochanki, której musiałby płacić w gotówce. Prawie wszyscy członkowie jego klubu odwiedzali jeden z dobrze znanych „domów” niedaleko kościoła św. Jakuba bądź mieli dyskretne

małe wille w lesie św. Jana, gdzie utrzymywali aktorki lub baletnice. Lord Braydon przeżywał wszystkie swe affaires de coeur w obrębie pałacu Marlborough, z damami, które tam spotykał. Były to tzw. profesjonalne piękności, gdyż ich podobizny sprzedawano w każdym sklepie papierniczym. W Hyde Parku często spotykało się grupki gapiów, którzy chcieli choć przez chwilę na nie popatrzeć. Kobiety te to przeważnie mężatki, ale ich mężowie po pięciu czy dziesięciu latach pożycia przymykali oczy na związki swych żon, jeśli tylko nie zagrażały one ich godności osobistej. Ktoś żartobliwie powiedział, że jedenaste przykazanie brzmi: „Nie będziesz nakryty”, co w rzeczywistości miało oznaczać: „Nie wolno ci wywoływać skandalu”.

Lord Braydon spodziewał się, że mąż księżniczki, która zaprosiła go na następny wieczór, będzie nieobecny, tak jak wszyscy mężowie dam, z którymi miewał romanse w Londynie. Wyjeżdżali oni przeważnie na wyścigi konne, na ryby lub polowania i wszystko odbywało się w bardzo cywilizowany sposób.

Dlatego teraz z przerażeniem uświadomił sobie, że jeśli nie chce obrazić barona, musi pójść do domu publicznego. Chciał wymyślić jakąś wymówkę, chociażby chorobę, ale nie byłoby to zbyt dobre wytłumaczenie. W końcu powiedział sobie, że potraktuje to jak wyzwanie dla swojej inteligencji.

Baron ciągle wychwalał zalety kobiet, które mieli spotkać, kiedy powóz zatrzymał się przed jasno oświetlonymi drzwiami. Czerwona lampa nie dawała cienia wątpliwości, co znajduje się w środku. Baron wysiadł z powozu i wszedł na schody. Wydawał się jeszcze bardziej pijany niż przedtem i lord Braydon pomyślał, że to z pewnością z powodu nagłego wyjścia na zimne powietrze. Kiedy mężczyźni zostali już wylewnie powitani przez „Madame”, kobietę około sześćdziesiątki, która była szefową całego interesu, lord

Braydon postanowił udawać równie pijanego jak jego towarzysz.

Po kilku komplementach, którymi baron zaszczyił zbyt jaskrawo umalowaną „Madame”, obaj przeszli przez hol do dużego pokoju. Stała tam wygodna sofa i kilka butelek wina. Jednym spojrzeniem lord ocenił wartość wina reńskiego; które wydało mu się nie najgorsze, chociaż szampan najprawdopodobniej nigdy nie widział francuskiej winnicy. Przyjął kieliszek trunku, podczas gdy baron zaczął opróżniać kolejne butelki szampana. Podczas gdy mężczyźni raczyli się napojami, zaczęły przed nimi paradować dziewczęta, przywoływane przez „Madame” kłaśnięciem rąk. Były to, w większości hoże, dobrze zbudowane Niemki, chociaż znajdowała się też pomiędzy nimi Chinka i dwie ciemnowłose dziewczyny, może Francuzki. Kiedy przed nimi przechodziły, mając na sobie jedynie wieniec róż i trzymając w ręku duży wachlarz z piór, baron okazywał entuzjazm i wołał do nich po imieniu. Kiedy dziewczyny skończyły paradę, usiadły na srebrnych pufach.

- Nie mówiłem, lordzie ? - zakrzyknął Niemiec. - To znakomite, coś, czego nie znajdzie pan na całym świecie i to wszystko należy do pana. Proszę wybierać. - I po raz kolejny tłumaczył „Madame”, że sam zapłaci rachunek, ponieważ lord jest jego gościem.

Baron czekał na odpowiedź lorda, który podniósł kieliszek, ciągle w połowie napełniony, i powiedział:

- Pan tu jest mistrzem, Mein Herr, a ja uczniem, pan więc ma pierwszeństwo.

Brzmiało to jak komplement i mile połechtало dumę gospodarza. Ledwo trzymając się na nogach podniósł się z sofy i każdej z dziewcząt zaczął prawić komplementy. W końcu rozpostarł ramiona w teatralnym geście, wywołując dwa imiona, a zawołane podbiegły do barona z piskiem,



obejmując go i całując, po czym zaciągnęły go do drzwi przy końcu korytarza, znikając lordowi z oczu.

- A teraz, Mein Herr, pana kolej - powiedziała „Madame” łamaną angielszczyzną.

Z grzeczności a także, o czym wiedział lord Braydon, z chęci pochwalenia się, baron przez cały wieczór mówił po angielsku, w czym naśladowała go reszta gości. Dla lorda było to bardzo wygodne, nie musiał bowiem używać niemieckiego i w związku z tym nikt nie wiedział, jak biegle zna ten język. Teraz więc, gdy „Madame” zwróciła się do niego, wiedział już, jak może się od całej tej sprawy wykręcić. Nie miał najmniejszego zamiaru brać udziału w czymś, co było dla niego zaprzeczeniem wszelkiej przyjemności.

- Chcę dziewczynę, która mówi po angielsku - powiedział pijanym głosem.

Był zupełnie pewien, że pośród dziewcząt siedzących na srebrnych pufach, nie było Angielki i z pewnością nie znalazłby jej w całym tym domu. Przyjechali tu z baronem dość późno i inne dziewczyny prawdopodobnie zostały już zajęte.

- Ja myślę - rzekła po chwili „Madame” - że Greta mówić trochę po angielsku, także ona bardzo... doświadczona, będzie pan zadowolony. - Mówiąc to wskazała na jedną z dziewcząt, która podeszła bliżej. Była to Niemka o blond włosach i pulchnym ciele.

- Nie! Ona nie jest Angielką - powiedział lord. - Jeśli nie ma pani Angielki, znajdę ją gdzie indziej - powiedziawszy to spodziewał się, że pokonał „Madame”. Teraz uda mu się opuścić to miejsce bez żadnego problemu, a baron od samej „Madame” dowie się, dlaczego wyszedł. Ale ku jego niezadowoleniu „Madame” wstała i powiedziała:

- Proszę za mną, Mein Herr!

Tego się lord nie spodziewał. Podążył więc za „Madame”, udając, że się chwieje, i dotarł do małej sypialni, tuż obok holu wejściowego. Musiał to być pokój dla tych, którzy niepewnie trzymali się na nogach i nie mogli wejść na górę.

Pokój udekorowano typowo dla takich miejsc. Łóżko ozdobiono różowymi kotarami, na suficie wisiało duże lustro. Zastłony w oknie stanowiły uosobienie wulgarności. Z wielkimi kokardami i koronkami wyglądały raczej odrażająco. W jednym rogu pokoju stała umywalka, a w drugim sekretarzyk. Lord Braydon domyślał się, że mieści on w sobie erotica, o których sama myśl przyprawiała go o mdłości. Zadbano tu także, zapewne dla takich klientów jak baron, o pewne oznaki luksusu w postaci wygodnej sofy i grubego dywanu na podłodze. Ponadto na suficie przymocowano kilka luster, które wielokrotnie odbijały cały pokój i przebywające w nim osoby. Był wreszcie nieśmiertelny stolik, na którym serwowano drinki.

Gdy tylko lord z Madame weszli do sypialni, służący wniósł butelkę szampana, którego cena okazała się wręcz horrendalna. Aby się upewnić, czy „Madame” go zrozumiała, gość postanowił powtórzyć żądanie.

- Chcę Angielkę, Angielkę, taką jak ja - starał się mówić jakby był kompletnie pijany i niezdolny do niczego.

- Pan poczekać Mein Herr, prędko przyprowadzić Angielkę - powiedziała szybko „Madame” i wyszła z pokoju zatrzaskując drzwi.

Lord Braydon usiadł na sofie. Pomyślał, że jeśli nawet przyprowadzą mu Angielkę, może powiedzieć, że nie przypadła mu do gustu. Dałby jej, oczywiście, wystarczająco dużo pieniędzy, aby złagodzić zranione uczucia. Lord wiedział jednak, że łatwiej będzie mu się dogadać z rodaczką. Niemka mogłaby być agresywna i poczuć się obrażona. Lord uśmiechnął się do siebie - na pewno „Madame!” wróci i

powie, że nie udało jej się nikogo znaleźć. Ale właśnie kiedy zamierzał wstać i odejść, mówiąc, że nie będzie dłużej czekał, drzwi się otworzyły. Oczom lorda ukazała się „Madame”, z jakąś dziewczyną, która miała na sobie nocną koszulę i narzutkę z różowego muślinu, obramowaną ordynarną koronką i kilkoma zamszowymi wstążkami. Twarz przybyłej została ukryta, ale lord zobaczył, że miała długie, jasne włosy. Kiedy „Madame” zbliżała się do niego, zorientował się, że dziewczyna jest czymś odurzona. Madame posadziła ją na łóżku i potrząsnęła nią mocno, wpijając ostre palce w jej ramiona.

- Rób to, czego zażąda ten dżentelmen, albo pożałujesz - i zwróciwszy się do lorda powiedziała: - młoda jest, nieśmiała. Ale, Mein Herr, cóż może być lepszego od niewinnej dziewicy, to rzadkość. - I spojrzawszy na niego, szybko wyszła z pokoju w razie, gdyby robił jakieś wymówki.

Kiedy drzwi się zatrzasnęły, dziewczyna podniosła głowę i otworzyła oczy. Gdy to zrobiła, lord z niedowierzaniem stwierdził że to Loelia. Jednocześnie i ona go poznała, wykrzykując:

- To pan! - szybko do niego podbiegła.

Umysł podpowiadał lordowi, że coś jest nie w porządku, zauważył też, że Loelia tylko udawała zamroczenie. Chciała coś wykrzyknąć, ale szybko zamknął jej usta, kładąc na nich rękę. Objął ją i odwrócił się tak, aby ktoś kto patrzył przez dziurkę od klucza, myślał że ją całuje. I szeptem, aby tylko Loelia słyszała, powiedział:

- Proszę nic nie mówić. Na pewno ktoś nas obserwuje i podsłuchuje.

Zrozumiała i lord wyraźnie poczuł jak się odprężyła. Tylko jej oczy patrzyły na niego błagalnie.

- Proszę się położyć - powiedział jej do ucha i po chwili, udając pijanego powiedział na głos: - Jesteś... ładną

dziewczyną, takiej właśnie szukałem, przynajmniej mogę z tobą rozmawiać, te Niemki mówią tak strasznie.

Gdy Loelia szła do łóżka, zauważył, że porusza się powoli, aby nadal stwarzać pozory zamroczenia narkotykami. Lord ściągnął tymczasem swoją wieczorową marynarkę i powiesił ją na kłamce, dziurka od klucza była bowiem wystarczająco duża, aby obserwować przez nią co się dzieje w środku. Potem wziął ręcznik i powiesił go na wieszaku na środku drzwi, w razie gdyby była tam ukryta jakaś dziura. Zbliżając się do łóżka, położył palec na ustach, gestem tym nakazując Loelii milczenie. Potem podszedł do zasłon i jak przypuszczał, znalazł przyrząd służący do podsłuchiwania. Był podobny do trąbki usznej i włożony w ścianę, tak że ktoś, kto znajdował się w sąsiednim pokoju, mógłby słyszeć każde wypowiedane przez nich słowo. Lord wyjął z kieszeni chusteczkę i zatkał nią tubę. Teraz miał pewność, że była już bezużyteczna. W końcu usiadł na łóżku i spytał cicho:

- Co się stało? Jak się pani tu dostała? Loelia wyciągnęła rękę i chwyciła go za ramiona, bojąc się, że może ją opuścić i powiedziała:

- Proszę mnie... ratować, proszę mnie... ratować!

- Niech mi pani powie, co się stało. Na pewno nikt już nas nie podsłuchuje, ale proszę mówić powoli i cicho, w końcu ma mnie pani zabawiać.

Światła były słabe, ale lord przykręcił lampkę, żeby zrobiło się jeszcze ciemniej. Przeszedł na drugą stronę łóżka i kładąc się na nim, powiedział:

- W suficie może być dziura, dlatego proszę się położyć i zwrócić twarz do mnie.

Posłuchała go jak dziecko. I kiedy już się ułożyła tak, aby każdy, kto ich obserwował, nie nabrał żadnych podejrzeń, lord rzekł:

- A teraz proszę powiedzieć, co się stało, kiedy wysiadła pani z pociągu.

- Zabrałam... zabrałam swój bagaż - zaczęła Loelia głosem pełnym strachu - i wyszłam ze stacji. Mój bagażowy spytał, czy jestem sama, a ja powiedziałam, że tak i że potrzebuję powozu, który by mnie zabrał do spokojnego hotelu.

Loelia przerwała na chwilę, jakby starając się przypomnieć sobie, co było dalej.

- Patrzył na mnie cały czas i... myślałam, że to dlatego, że jestem Angielką, chociaż rozmawiałam z nim po niemiecku.

- Proszę mówić dalej.

- Ominął kilka powozów, które czekały i podszedł do tego, który stał nieco na uboczu i powiedział: „Ta młoda dama jedzie w pani stronę, madame, może wzięłaby ją pani ze sobą?”. Nie widziałam dobrze wnętrza powozu, ale ta kobieta powiedziała do mnie po niemiecku: „Ależ oczywiście, z wielką chęcią. Niech pani wsiada, moja droga i powie mi dokąd chce jechać”.

- Więc posłuchała jej pani?

- Ciągle zadaję sobie pytanie, jak mogłam być tak głupia, ale... nie miałam pojęcia, że coś... takiego może się zdarzyć.

- Mówiłem, że nie powinna pani podróżować samotnie.

- Tak, wiem... i oczywiście miał pan rację.

- Co się stało potem?

- Dama, jak mi się wtedy wydawało, zapytała gdzie się zatrzymam, więc poprosiłam ją, aby mi poleciła jakiś hotel. „Mam lepszy pomysł”, powiedziała. „Przyjechałam na stację po córkę, ale ona jest tak roztrzepaną młodą osobą, że pewnie znów spóźniła się na pociąg. A to oznacza, że nie przyjedzie do jutra. Mam dla niej przygotowany pokój, więc myślę, że może pani bez problemu się w nim zatrzymać, a ja będę szczerze zadowolona mając takiego gościa” - ciągnęła Loelia

nieszczęśliwym głosem. - Wydawała mi się taka miła, a ja bałam się być sama w tym wielkim mieście i... nie miałam przecież pewności, dokąd chcę jechać. Więc podziękowałam jej i zgodziłam się.

- No ale z pewnością jej wygląd musiał wydać się pani dziwny?

- Wyglądała zupełnie inaczej niż dziś wieczorem, w ładnym ubraniu i bez makijażu. Nawet przez moment nie pomyślałam... że ona... może wyglądać tak jak teraz.

Zamilkła i lord poczuł, że cała drży.

- Kiedy przyjechałam do... do tego domu, wydał mi się nieco dziwny, ale ta kobieta kazała mi iść na górę... pokój okazał się miły, może trochę zbyt przesadnie udekorowany. Powiedziała do mnie: „A teraz proszę zdjąć kapelusz i płaszcz. Z pewnością jest pani spragniona. Zjemy wcześniej obiad, ale najpierw przyniosę pani filiżankę gorącej czekolady”. Nie czekała na moją odpowiedź i kiedy rozwiązywałam kapelusz, przyniosła mi czekoladę i powiedziała: „Proszę to wypić, na pewno będzie pani smakowało, a na obiad zamówiłam coś specjalnego”.

- Więc wypła pani czekoladę - zauważył lord Braydon, wiedząc już teraz, co zawierała.

- Tak... czułam się trochę głodna... a potem... a potem już nic nie pamiętam. Kiedy się obudziłam - powiedziała Loelia z przerażeniem w głosie - było już dość późno następnego dnia. Ktoś mnie rozebrał i położył do łóżka. Po raz pierwszy naprawdę się bałam.

- Czy zorientowała się pani, w jakim miejscu się znajduje?

- Nie, oczywiście, że nie... ale słyszałam o handlu białymi niewolnicami, i o tym że porywa się młode dziewczęta i wywozi je w obce miejsca. Byłam przerażona, bo już

wiedziała, że w tej czekoladzie znajdowały się jakieś środki odurzające.

Loelia przerwała na chwilę, po czym kontynuowała:

- Ona... przyszła do pokoju... wyglądała dokładnie tak jak teraz. Wtedy dopiero odgadłam, że znalazłam się w okropnym miejscu - przybyto zła.

- I co pani zrobiła?

- Powiedziałam jej, że chcę natychmiast opuścić ten dom, ale ona roześmiała się tylko. Oświadczyła, że jestem jej więźniem i muszę robić co mi każe, bo inaczej będę odurzana narkotykami i bita dotąd, aż się poddam. - Loelia wyciągnęła rękę w kierunku lorda i powiedziała: - Zabierze mnie pan stąd? Obieca mi pan, że mnie stąd weźmie?

- To nie będzie łatwe - odpowiedział lord Braydon. Wiedział bowiem, że gdyby zrobił scenę, „Madame”, niewątpliwie ostro by zaprotestowała. Historyjka ta z łatwością mogłaby przedostać się do gazet, co w sytuacji lorda było absolutnie niedopuszczalne. Ludzie, do których wysłał listy wiedzieli, że jest bliskim przyjacielem księcia Walii, a ponadto dla wielu z nich miał wiadomości od księcia, które, na jego polecenie, musiał przekazać osobiście. Wszystko to kotłowało się w jego głowie i Loelia, jakby zgadując jego myśli, powiedziała:

- Proszę... proszę... nie może mnie pan tu zostawić. Cały czas udawałam, że nadal jestem pod wpływem narkotyków, i przez cały dzień nic nie jadłam ani nie piłam, w razie gdyby znów chcieli mnie czymś odurzyć.

- Bardzo mądrze, ale musi mieć pani świadomość, że będą próbować ją zatrzymać.

- Jakże mogę tu zostać - powiedziała głosem dziecka - chyba... chyba się zabiję.

Palce lorda instynktownie zacisnęły się na rękę dziewczyny.

- W jakiś sposób panią uratuję, choć Bóg jeden wie jak mi się to uda.

- Ale uratuje mnie pan? Wiem, że nie powinnam prosić o tak wiele, ale... ale nie może mnie pan zostawić w tym okropnym miejscu. - Loelia stłumiła płacz i dodała - nie wiedziałam, że takie miejsca istnieją i... że tacy dżentelmeni jak pan je odwiedzają.

- Przyszedłem tu dzisiaj, gdyż bardzo trudno było mi odmówić towarzystwa mojemu gospodarzowi - wyjaśnił lord.

- Poprosiłem o Angielkę w nadziei, że nie mają tu takiej dziewczyny i mógłbym w ten sposób wyjść stąd, nie biorąc udziału w „rozrywkach”, które tu proponują.

- Ale... ale... nie może mnie pan zostawić... proszę... proszę... nie może pan.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zgodził się lord. - Ale zanim się zastanowimy, jak to zrobić, musi mi pani powiedzieć jak się naprawdę nazywa i co robi w Berlinie.

- A więc wie pan, że skłamałam mówiąc, iż nazywam się Johnson?

- Nie umie pani kłamać, a ja wciąż nie rozumiem dlaczego podróżowała pani sama, skoro jest zbyt niedoświadczoną i zbyt piękną kobietą, aby jechać gdziekolwiek bez opieki.

Loelia popatrzyła na niego.

- Przyjechałam... przyjechałam do... Berlina, aby odnaleźć... ojca.

- I nie wie pani gdzie on jest?

- Nie mam pojęcia, chociaż... podejrzewam, że został więźniem Niemców.

Lord Braydon zastygł.

- A dlaczego mieliby go uwięzić? Loelia nie odpowiadała przez moment, więc lord rzekł:



- Nie może pani oczekiwać, Loelio, że jej pomogę, jeśli nie będzie ze mną szczerą. Proszę mi powiedzieć prawdę, całą prawdę, bo inaczej przyjdzie mi zostawić panią samą!

Dziewczyna wydała jęk rozpaczony, ale zaraz instynktownie umilkła, gdyż wiedziała, że ktoś ich może podsłuchiwać.

- Proszę mi zaufać - powiedział cicho lord Braydon.

- Nie powinnam mówić o rzeczach, które dotyczą papy, ale... ale jeśli powiem prawdę, czy postara się go pan nie skrzywdzić?

Mówiła drżącym głosem i lord zorientował się, że musi być bardzo przywiązana do ojca.

- W tym momencie obchodzi mnie tylko to w jaki sposób mogę panią wyciągnąć z tego całego zamętu. Jednocześnie muszę mieć pewność, że nie jestem oszukiwany - powiedział to rozmyślnie. Z wyrazu jej oczu wyczytał, jak bardzo jest zmieszana tym, iż mógłby o niej w ten sposób myśleć.

- Przysięgam na Boga i na wszystko, co święte - powiedziała Loelia - że nie chcę pana wykorzystać, a chodzi mi tylko o pomoc dla mojego ojca, który, jestem przekonana, znalazł się w tarapatkach.

- Powiedział pani o tym?

- Nie... nie, ale ja to... czuję.

- Jak?

- Nie uwierzy pan, jak mu powiem.

- Mimo wszystko spróbuję.

- No dobrze. Od kiedy mama nie żyje, jestem mocno związana z ojcem, do tego stopnia, że... mogę wyczuć na odległość, co się z nim dzieje. Inni ludzie tego nie potrafią - mówiła powoli, nie wiedząc jak dokładnie ująć w słowa to, co czuje; bała się też, że lord jej nie uwierzy.

Ale on pomógł jej, pytając:

- Czy chce pani powiedzieć, że posiada taką psychiczną więź z ojcem, ponadnaturalną moc, która pozwala łączyć się z nim?

- Papa wierzy, że jest to po prostu moc myśli.

- Słyszałem o tym, oczywiście, ale zwykle dotyczyło to ludzi z Indii i innych części Wschodu. Na pewno nie było takiego przypadku w Anglii.

- Papa mówił to samo, ale ja mogę czytać jego myśli podobnie jak on potrafi czytać moje... i wiem, co się z nim dzieje, gdy nie ma go przy mnie... i dlatego obawiam się teraz, że został uwięziony.

- Jak to możliwe, aby pani to wiedziała? Loelia wykonała bezradny ruch ręką, mówiąc:

- Wiedziałam, że mi pan... nie uwierzy.

- Próbuję uwierzyć, ale nie powiedziała mi pani jeszcze jak nazywa się ojciec.

- Standish.

Lord Braydon spojrział na nią z niedowierzaniem.

- Mówi pani, że pani ojciec nazywa się Thurston Standish?

- Zna go pan? Zna pan... papę? Niewiarygodne!

Nazwisko Thurstona Standisha znaczyło bardzo wiele dla ludzi takich jak lord Braydon, którzy często byli wzywani przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych do wykonania zadań specjalnych poza krajem. Thurston Standish również należał do tej grupy. Mówił kilkoma językami, był ekspertem w sprawach orientu i, ponieważ go to interesowało stał się uznanym autorytetem w dziedzinie broni wojennej. Miał też niezwykłą wiedzę z zakresu doświadczeń naukowych przeprowadzanych w Rosji i w innych częściach świata. Stanowiło to może nieco dziwne połączenie, ale lord Braydon często słyszał, jak wymawiano imię Standisha z podziwem. Był człowiekiem, którego zawsze pragnął poznać. Dlatego

wydawało mu się to niezwykle i nie mógł wprost uwierzyć, że to nie sen i że teraz siedzi przed nim córka tego człowieka, w dodatki przebywająca w Berlinie w poszukiwaniu ojca.

Po krótkim namyśle, lord doszedł do wniosku, że, być może, Thurston Standish jest owym człowiekiem działającym na rzecz markiza Salisbury, który przybył do Berlina w tym samym celu co on, ale od miesiąca nie dawał znaku życia. „Jeśli rzeczywiście jest w niebezpieczeństwie” - pomyślał lord - „to muszę go ratować”.

- Znam pani ojca tylko ze słyszenia - odezwał się wreszcie do Loelii. - Nigdy nie miałem okazji poznać go osobiście, ale wiem, że jest wspaniałym człowiekiem, ufa mu wielu ludzi, których nazwisk najlepiej będzie tu nie wymieniać.

Loelia zadrżała. Rozejrzała się po pokoju, jakby bojąc się, że ktoś czai się w ciemnościach i powiedziała:

- Mój przyjazd nie był może najmądrzejszą rzeczą, ale... wiedziałam, że papa jest w tarapatkach i pomyślałam, że tu, na miejscu, mogłabym mu jakoś pomóc.

- Wiedziała pani, że jest w Berlinie?

- Tak, powiedział mi dokąd jedzie... i pisał do mnie co tydzień, aż nagle listy przestały przychodzić.

- I właśnie wtedy pomyślała pani, że został uwięziony?

Popatrzyła na niego uważniej i powiedziała:

- Myślę, że papa stara mi się powiedzieć, że Niemcy chcą wyciągnąć od niego jakieś informacje i dlatego gdzieś go przetrzymują.

Lord Braydon pomyślał, że jest to całkiem prawdopodobne. Jeśli Niemcy mają w swoich rękach takiego człowieka jak Thurston Standish, to na pewno postarają się zmusić go do mówienia. A gdy tak się stanie, mogą dowiedzieć się o wielu tajemnicach Marynarki Wojennej

Wielkiej Brytanii i jednocześnie ocenić, czy ich broń jest rzeczywiście taka dobra jak przypuszczali.

Teraz Lord Braydon wiedział, że musi zrobić wszystko, aby pomóc Loelii. Następnym zadaniem stanie się uwolnienie jej ojca. Przez moment wydawało mu się, że jest bezradny, ale już za chwilę, jak zawsze w niebezpieczeństwie, poczuł w sobie energię i moc, które nigdy w przeszłości go nie zawodziły.

Jeszcze raz Loelia odgadła jego myśli:

- Jeśli mi pan pomoże, oboje uratujemy papę. Czuję, że Bóg zesłał pana w najbardziej odpowiednim momencie.

Sposób, w jaki to powiedziała poruszył lorda Braydona:

- Będziemy musieli być bardzo sprytni, aby panią stąd wyciągnąć bez nadmiernego hałasu - powiedział.

Jego umysł pracował na zwiększonych obrotach. Byli już w tym pokoju prawie pół godziny. Lord Braydon nie miał ochoty na spotkanie z baronem, dopóki nie zabierze stąd Loelii. Instynktownie, jakby ktoś dyktował mu słowa, tłumaczył Loelii, co ma robić. Jako córka takiego ojca przyjęła instrukcje bez szemrania, kiwając tylko głową.

Lord Braydon wstał z łóżka. Wziął do ręki butelkę szampana i wylał większą jej zawartość w róg pokoju, tak aby nikt jej zbyt szybko nie zauważył. Potem poszedł za łóżko, wyciągnął z tuby chusteczkę i włożył ją do kieszeni: Ponownie udając głos pijanego człowieka, powiedział głośno:

- Jesteś naprawdę bardzo dobra, bardzo dobra. I jutro na pewno wrócę! - mówiąc to, podszedł do drzwi, ściągnął z nich marynarkę i założył. Jednocześnie odwiązał krawat i odpiął kilka guzików marynarki, aby wyglądać jak człowiek, który wypił za dużo. Przeczesał dłonią włosy i skinął na Loelię. Kiedy do niego podbiegła, otoczył ją ramieniem i otworzył drzwi. Jak przypuszczał, gdy tylko wyszli na korytarz ujrzeli „Madame”.

- Dobrze się pan bawić? Loelia dobra dziewczyna - robi co jej każą?

- Bardzo dobra dziewczyna - odparł lord - bardzo dobra! Wrócę jutro wieczorem i niech ją pani dla mnie zatrzyma.

- Ja, ja, Mein Herr, Loelia trzymana dla pana.

Chwiejąc się na nogach, jakby miał za chwilę upaść, lord podszedł do drzwi frontowych, mocno wspierając się na Loelii. Służący otworzył je i zszedł dwa stopnie niżej, aby otworzyć drzwi powozu, czekającego już na lorda, który z ulgą stwierdził, że jest w nim Watkins, gotowy do drogi.

- To pana powóz, Mein Herr - powiedziała „Madame”. - Proszę się pożegnać z Loelia. Ja zadowolona, że pan ją lubić.

- Uważam, że jest wspaniała! - powiedział lord, a zauważywszy kilka innych dziewczyn, zerkających na niego przez drzwi, zawołał - wszystkie jesteście wspaniałe! Wspaniałe miejsce, świetne dziewczęta, dobra „Madame”! Dziękuję!

Mówiąc to sięgnął do kieszeni i wyciągnął kilka monet i banknotów, które wrzucił do holu.

Dziewczęta z okrzykami radości rzuciły się, by je pozbierać. „Madame” również schyliła się w pośpiechu, chcąc podnieść złotą monetę, która upadła tuż przy niej. Lord Braydon rzucił jeszcze kilka monet w kierunku stojącego przy drzwiach powozu służącego, i gdy ten próbował je schwytać, popchnął Loelię, która jak błyskawica ruszyła w dół po schodach, przebiegła przez chodnik, dopadając powozu. Ze zręcznością sportowca, oczywiście trzeźwego sportowca, lord pobiegł za nią i gdy tylko znalazł się we wnętrzu pojazdu, konie ruszyły. Loelia przytuliła się do swego wybawcy:

- Udało się! Udało! Nie mogę uwierzyć! Nie sądziłam, że będzie to możliwe, ale udało się! - mówiąc to wtuliła twarz w jego ramię i wiedział, że płacze.

Braydon pogłaskał ją po głowie i powiedział:

- Już wszystko w porządku. Była pani bardzo dzielna.

Spojrzał na Watkinsa, siedzącego tyłem do koni i w świetle mijanych latarni ujrzał na jego twarzy szydrczy uśmiech.

- Watkins - powiedział lord - musimy dotrzeć z panną Loelią do mieszkania tak, aby nikomu nie wydawało się to dziwne i podejrzanе, tylko że ona jest niezupełnie ubrana.

- Czy pan zostawił swą pelerynę?

- Tak, niestety, a mój kapelusz spadł, kiedy biegłem po schodach.

Gdy szedł w kierunku drzwi frontowych, „Madame” nałożyła mu na głowę kapelusz. Miała też zamiar podać płaszcz, kiedy tylko zwolniłby z uścisku Loelię.

- Czy mogę coś zaproponować, Wasza Lordowska Mość?

- spytał Watkins.

- Tak oczywiście.

- Myślę, że powinienem usiąść obok woźnicy. Jest raczej nieprawdopodobne, aby nas śledzono, ale nigdy nie wiadomo.

Lord skinął głową. Watkins zapukał w okienko, aby powóz się zatrzymał i szybko przesiadł się na kozioł. Wóz znowu ruszył.

Loelia cały czas trzymała głowę na ramieniu lorda. Najwyraźniej walczyła ze łzami.

- Zaopiekują się panią, ale ponieważ jutro może być wokół jej osoby wiele wrzawy, najlepiej, jeśli będzie pani występować pod innym nazwiskiem.

Loelia podniosła głowę. Wyraźnie widział na jej policzkach wysychające łzy. Spojrzała na niego i ciepłym głosem, ze szczerością, która wydawała się płynąć z serca, powiedziała:

- Czy zdołam... panu kiedykolwiek... podziękować? Nie potrafię... nawet wyrazić... jaka jestem szczęśliwa, że mnie pan... stamtąd zabrał.

- Przyjdzie na to czas, kiedy my oboje i pani ojciec będziemy już bezpieczni.

- Nigdy nie zapomnę, że gdyby pan nie przyszedł tej nocy... byłby to ktoś zupełnie inny, a ja... nie mogłabym nic jeść ani pić w obawie przed narkotykami.

- Proszą się starać o tym nie myśleć. Na razie wygraliśmy pierwszą bitwę, ale z pewnością czeka nas ich więcej i w nich również musimy zwyciężyć.

- Modłę się, modłę się o to bardzo gorąco. - A teraz zastanówmy się, czym możemy panią okryć. Proszę założyć ten koc na głowę. Otulił ją i dodał:

- Jest wystarczająco duży, więc jeśli pani owinie nogi, nikt się nie domyśli jak pani jest ubrana.

Loelia spojrzała na lorda z podziwem; Koc był zrobiony z kaszmiru i całkowicie ją przykrywał.

Lord pomyślał, że o tej porze nie powinno się już kręcić zbyt wielu służących, jednocześnie nie chciał, aby zaczęły się jakiegokolwiek plotki; chciał dać sobie więcej czasu do namysłu. Musiał wymyślić jakąś wiarygodną historyjkę, która przekonałaby barona, że to co zrobił, było właściwe.

Powóz zatrzymał się i Watkins otworzył drzwi. Lord Braydon wysiadł i wziął Loelię na rękę, niosąc ją przez chodnik ku oświetlonym drzwiom. Dyżurowało tam dwóch odźwiernych. Chociaż wyglądali na nieco zaciekawionych tym „czymś”, co lord dźwigał na rękach, nie zadawali żadnych pytań. Lord doszedł do windy i wjechał na trzecie piętro. Watkins mu towarzyszył.

Gdy znaleźli się w apartamencie, lord postawił Loelię na podłodze. Mimo że ściągnęła koc z głowy, nadal szczerze się nim okrywała. Lord wiedział, że się wstydzi.

- Tam jest sypialnia, panienko - powiedział Watkins biorąc sprawy w swoje ręce. - Łóżko jest przygotowane,

sprawdziłem, gdy tylko tu przyjechaliśmy - wskazał dłonią drogę i Loelia wraz z lordem podążyli za nim.

Pokój, do którego Watkins ich zaprowadził, okazał się bardzo przyjemną sypialnią, znajdującą się naprzeciwko salonu. Najwyraźniej była przeznaczona przez właściciela apartamentu na pokój gościnny.

- Bardzo panu dziękuję - zwróciła się Loelia do Watkinsa.

- A teraz, ponieważ panna Loelia przez cały dzień nic nie miała w ustach - powiedział lord Braydon - proponuję abys znalazł coś konkretnego do jedzenia, zanim pójdzie spać.

- Oczywiście, Wasza Lordowska Mość.

- Ależ nie chciałabym sprawiać kłopotu - zaproponowała dziewczyna.

Lord Braydon się roześmiał.

- Już pani sprawiła i pewnie sprawi pani jeszcze większy w przyszłości. W tej sytuacji sprawa posiłku wydaje się rzeczą zupełnie nieważną.

Loelia usiadła na łóżku i powiedziała:

- Teraz, kiedy już jestem bezpieczna, mogę zacząć naprawdę myśleć o papie i o tym jak możemy mu pomóc.

- Czy ma pani zupełną pewność, że jest więziony? Zdaje sobie pani chyba sprawę że nie jest to rzecz, o którą mogę po prostu spytać każdego.

- Jestem o tym przekonana! Widzę nawet miejsce, w którym jest trzymany, ponieważ papa przesyła mi swoje myśli.

Lord Braydon pomyślał w duchu, że nie wierzy w ani jedno słowo na ten temat, ale skłonny był wysłuchać jej do końca.

- To jest piwnica w dużym domu, a w pokoju jest stół i dużo papieru, na którym ojciec ma napisać lub narysować to czego żądają Niemcy.

- Skąd pani wie? Spojrzała na niego bezsilnie:



- Jeśli pan mi nie wierzy... Nie mam niczego, co mogłoby go przekonać.

- Chcę wierzyć, naprawdę chcę, ale nie ułatwia mi pani tego.

Loelia roześmiała się serdecznie.

- Tak samo mówiła mama, kiedy przekazywałam jej wiadomości od ojca, których sama, z jakiegoś powodu, którego nigdy nie rozumiałam, nie potrafiła od niego „odebrać”. Nie miała widocznie takich zdolności,

- To naprawdę niesamowita historia! Muszę wszystko przemyśleć i zastanowić się, w jaki sposób możemy wykorzystać te pani zdolności, aby pomóc w odnalezieniu pani ojca.

- Jeśli pan to zrobi, to... na pewno go odnajdziemy. Ale będę się też mocno, mocno modlić, aby nam się udało.

- Tak, skoro już prawie jestem gotów w to uwierzyć - powiedział lord cicho.

### Rozdział 3

Loelia obudziła się i przez moment nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Po chwili wyłoniły się z pamięci okropne wydarzenia poprzedniej nocy, więc szybko wyskoczyła z łóżka, aby odsłonić kotary. Było pięknie, słońce oświetlało szare, dość groźnie wyglądające domy.

Wspomnienie ojca przyprawiło ją o drżenie. Potem uświadomiła sobie własne położenie z wczorajszego dnia. Teraz przynajmniej czuła się bezpiecznie i jedyny problem stanowił brak jakichkolwiek ubrań.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi i natychmiast wróciła do łóżka, naciągając na siebie kołdrę. Następnie nieco nerwowo zawołała:

- Proszę wejść!

Drzwi się otworzyły i wszedł Watkins, mówiąc:

- Dzień dobry, panienko! Słyszałem, jak panienka odsuwała zasłony i dlatego wiedziałem, że już wstała. Czy jest panienka gotowa do śniadania?

Loelia uśmiechnęła się do niego.

- O tak! Jestem bardzo głodna. - Watkins dał jej wprawdzie przed snem coś do zjedzenia, ale jako że cały poprzedni dzień praktycznie nic nie miała w ustach w obawie przed środkami odurzającymi, teraz była gotowa zjeść wszystko, co jej podadzą.

Po kilku minutach Watkins pojawił się ponownie, tym razem z tacą, na której wniósł jajka na bekonie, gorące tosty i czajniczek z kawą.

- Pan mówi, że chciałby, aby panienka jak najszybciej się ubrała.

- Ubrała? Ale w co? Watkins wyszczerzył zęby.

- Mam tylko nadzieję, że wybrałem coś, co się panience spodoba.

- Zrobiłeś dla mnie zakupy?! - wykrzyknęła z niedowierzaniem Loelia.

- Musiałem tylko odgadnąć pani rozmiar. Staralem się jak mogłem - z tymi słowami wyszedł z pokoju.

Loelia, jedząc z apetytem, pomyślała, że wszystko co się jej przydarza, jest zadziwiające. Była również niesłuchanie wdzięczna lordowi Braydonowi. Nie chciała nawet myśleć, co by się stało, gdyby nie pojawił się wczorajszej nocy w tym okropnym miejscu. Miała jedynie słabe pojęcie o tym co naprawdę się tam działo, ale wiedziała, że jest to straszne i poniżające.

Kończyła właśnie drugą filiżankę kawy, kiedy wrócił Watkins, niosąc suknie, które dla niej kupił. Była zdziwiona, że są proste a jednocześnie w dobrym guście, wręcz doskonałe dla bardzo młodej dziewczyny.

- Pan mówi, panienko, że może później będzie panienka mogła wybrać dla siebie coś lepsze; go, tymczasem jednak te suknie muszą wystarczyć.

- Ależ wszystkie są bardzo eleganckie! - powiedziała szybko Loelia. - To miło ze strony lorda i twojej, że kupujecie stroje komuś, kogo prawie nie znacie.

- Mam nadzieję, że rozmiar jest dobry - odparł Watkins. - A teraz przygotuję paniencie kąpiel.

Loelia nie przypuszczała, że w apartamencie znajduje się wanna. Wiedziała wprawdzie że w wielu domach w Anglii są łazienki, ale nigdy nie były one używane przez kobiety, które kapały się zawsze w swoich sypialniach. Nic jednak nie powiedziała, kiedy po chwili Watkins przyniósł jej olbrzymi, turecki ręcznik, którym mogła się okryć. Następnie wskazał jej drogę przez korytarz do bardzo nowoczesnej łazienki z gorącą i zimną bieżącą wodą. Był to luksus, o którym Loelia nawet nie śmiała marzyć. Położyła się w wannie i poczuła jak ciepła woda zmywa z niej część strachu, którego doświadczyła

wczoraj w obecności „Madame”. Ale już po chwili jej myśli przeniosły się na ojca, gdyż wiedziała, że to o niego powinna się teraz zacząć troszczyć.

Pozostawał wciąż w jej myślach, nawet gdy się ubierała i kiedy przyszedł Watkins, oznajmiając, że lord Braydon czeka na nią w salonie. Był to pokój tuż obok jej sypialni i kiedy weszła, lord wstał z fotela, aby ją przywitać. Loelia pomyślała, że lord wygląda na silnego człowieka, z którego bije poczucie bezpieczeństwa. Czowała, że gdyby tylko mogła z nim zostać, nic złego nie mogłoby się jej przytrafić. Szybko przebiegła przez pokój i kiedy była już obok niego, powiedziała:

- Dziękuję... dziękuję panu tak bardzo! Nie wiem... jak wyrazić... słowami swoją wdzięczność!

- Mamy w tym momencie inne sprawy do omówienia - powiedział stanowczo.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem a lord kontynuował:

- Myślę, że jest pani na tyle inteligentna, aby zdawać sobie sprawę, że nasze wczorajsze zachowanie może mieć przykre następstwa. Istnieje możliwość, że Niemcy stwierdzą, że panią porwałem i będzie to traktowane jak przestępstwo.

Loelia wydała okrzyk przerażenia.

- Chyba nie próbuje mi pan... powiedzieć, że... że muszę... wrócić?

- Nie, oczywiście, że nie - powiedział szybko lord - ale ostrzegam panią, że możemy się spodziewać wizyty barona von Krozingena, który wczorajszej nocy był moim gospodarzem i dlatego musimy przygotować jakieś wyjaśnienia. Loelia złożyła ręce,

- Ale nie wspomni pan nic o papie ani nie powie kim naprawdę jestem?

- Nie jestem głupcem, ale skoro w pociągu przedstawiła mi się pani jako panna Johnson, musi mieć pani paszport wystawiony na to samo nazwisko.

Loelia skinęła głową.

- Należy do sekretarki papy. Wzięłam go z jej biurka, nie mówiąc dokąd jadę.

- Bardzo mądrze - pochwalił ją lord Braydon. - Nie chcemy przecież, aby Niemcy wiedzieli, że córka Thurstona Standisha jest w Berlinie.

Przerwał i po chwili, jakby zastanawiając się nad słowami, powiedział:

- Długo myślałem, co powiem baronowi, a jako że może się on zjawić lada moment, pani i Watkins musicie uważnie słuchać naszej rozmowy.

- Ale jak możemy to zrobić?

- Drzwi od mojej sypialni otwierają się do tego pokoju - wyjaśnił lord - a Watkins już naoliwił zamek.

Gdy to mówił, pojawił się Watkins i ostrzegł:

- Ktoś stoi przed drzwiami, Wasza Lordowska Mość.

Nie odpowiadając, lord szybko przeszedł przez pokój i otworzył drugie drzwi przy półce z książkami. Loelia, wiedząc co ma robić, weszła pospiesznie do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Stała tuż za nimi. Rozumiała, że musi się zachowywać bardzo cicho, więc zdjęła pantofle, które kupił jej Watkins. Były bardzo wygodne, ale troszeczkę za duże. Położyła je na dywanie, a potem stanęła tak blisko drzwi, jak to było możliwe. Usłyszała jak Watkins anonsuje:

- Wasza Lordowska Mość, baron von Krozingen do pana.

Lord podniósł się znad biurka, przy którym siedział, robiąc wrażenie, że właśnie coś pisał. Wyciągając dłoń w kierunku barona, powiedział pozorując zdziwienie:

- Ależ drogi baronie, cóż za miła niespodzianka z samego rana.

Baron przywitał się, jednakże w jego oczach czaiła się zapowiedź kłopotów.

- Może jest zbyt wcześnie, ale myślę, że możemy uraczyć się kieliszkiem wybornego francuskiego szampana, który mój przyjaciel zostawił do mojej dyspozycji - kontynuował lord.

- Rzeczywiście, dobra myśl - odparł nieco wyniośle baron.

Gdy to mówił, Watkins wszedł do pokoju, niosąc tacę z butelką Pola Rogera i dwoma kieliszkami. Butelka była otwarta i lord Braydon napełnił kieliszki dla siebie i swojego gościa. Następnie mężczyźni usiedli w fotelach i baron, wypiwszy pół kieliszka, powiedział:

- Obawiam się lordzie, że muszę pana prosić o wyjaśnienie pańskiego zachowania wczorajszej nocy.

- Tak, z pewnością się to panu należy - odpowiedział lord Braydon, a mówiąc to odstawił kieliszek i przez chwilę wpatrywał się w przestrzeń jakby nie wiedział, co powinien powiedzieć.

- Musi pan sobie zdawać sprawę - odezwał się baron - że niewybaczalne jest, aby ktokolwiek zabierał z „Domu Rozkoszy” jedną z jego mieszkańek. Gdy pan odjechał, „Madame” była wściekła i groziła, że wezwie policję.

- Obawiałem się tego - powiedział lord Braydon - i dlatego, poza tym że winien jestem panu przeprosiny i, oczywiście, wyjaśnienie, zamierzam powierzyć panu pewną informację, która jest absolutnie ściśle tajna.

- Wątpię, aby to było możliwe.

- Myślę, że jako człowiek światowy i wybitny polityk, zrozumie pan, że to co powiem, musi pozostać w tajemnicy.

Baron najwyraźniej się zainteresował. Lord, zanim rozpoczął swą opowieść, nalał do kieliszków jeszcze trochę szampana.

- Zanim opuściłem Londyn, dowiedziałem się, że Jej Wysokość Królowa Anglii i moja babka, księżna Exmouth, udzieliły zgody na małżeństwo mojej podopiecznej, która

mieszkała z moją babką, z jednym z ulubionych kawalerów Królowej.

Baron wpatrywał się teraz w lorda z nie ukrywanym zdziwieniem. Lord wiedział, że zastanawia się, czy to co mu właśnie powiedział ma jakikolwiek związek z wydarzeniem poprzedniej nocy.

- Niestety, kawaler ów, nie będę tu wymieniał jego nazwiska, jest dużo starszy od mojej podopiecznej. I chociaż to człowiek dystyngowany i wielce zasłużony dla Korony, nie jest typem romantycznego bohatera, o którym marzą młode dziewczęta - lord wypił nieco szampana i po chwili kontynuował: - Jak wielu młodych ludzi w dzisiejszych czasach, moja podopieczna ma niezależną naturę i poglądy, które starszym wydają się rewolucyjne. Najważniejszym powodem, dla którego nie chce poślubić owego mężczyzny jest to, że - jak mówi - chce kochać człowieka, za którego wyjdzie za mąż.

Baron skinął głową ze zrozumieniem i lord ciągnął dalej:

- Dlatego też gwałtownie zaprotestowała przeciwko temu małżeństwu, a kiedy moja babka powiedziała jej, że w żaden sposób nie może sprzeciwić się decyzji Królowej, dziewczyna postanowiła zjednać sobie moją sympatię.

Wyraz oczu barona świadczył, że powoli zaczynał rozumieć jak zakończy się ta historia.

- Dowiedziawszy się, że już wyjechałem do Berlina, głupiutkie dziewczę pojechało do Dover, a potem przepłynęło Kanał do Antwerpii. W tym samym czasie ja dotarłem tam swoim jachtem. Dziwnym zrządzeniem losu, moja podopieczna wsiadła do tego samego pociągu co ja, ale ponieważ było już ciemno, nie wiedziała że jestem w pobliżu.

Lord ponownie napełnił kieliszki i mówił dalej:

- Kiedy przybyła do Berlina, zebrała swój bagaż i poprosiła tragarza, aby poleciał jej jakiś spokojny hotelik.

Wtedy wiedziała już, gdyż miała wystarczająco dużo czasu do myślenia, że będę bardzo zły i zmartwiony jej wyczynem, nie tylko dlatego że pojechała w ślad za mną, ale też że podróżuje zupełnie sama, bez żadnej opieki.

- Młoda dama powinna wiedzieć, że to niedopuszczalne - wymamrotał baron.

Lord Braydon zignorował tę uwagę i ciągnął dalej:

- Myślała, że zatrzymam się w ambasadzie brytyjskiej i bała się, że zarówno ambasador jak i ja będziemy naciskali żeby natychmiast wróciła do Londynu. Postanowiła więc poczekać na mnie przed ambasadą aby prosić mnie o pomoc, albo raczej bym poprosił Jej Wysokość o zmianę zamiarów.

- Trudne zadanie - wtrącił baron.

- Po prostu niemożliwe - zgodził się lord Braydon. - Ale jeszcze nie skończyłem mojej historii.

- Mogę się domyślić, co się stało - mruknął baron.

- „Madame” zaproponowała jej, że ją podwiezie i zarówno pan jak i ja, jako ludzie obyci, możemy zgadnąć, co nastąpiło potem - lord wstał z fotela i stanął przy pustym kominku. - Nie chcę nawet myśleć, co by spotkało to biedne, nierozważne dziecko, którym jest nadal, gdyby niezwykłym zrzędzeniem losu wczorajszej nocy nie przyprawiono jej do mnie, lecz do jakiegoś nieznajomego - i zmieniając nieco ton, lord dodał: - Chyba zdaje pan sobie sprawę, baronie, co by się stało, gdyby ta historia przedostała się do prasy. Nie tylko reputacja mojej wychowanki zostałaby nadszarpnięta ale i my, pan i ja, ludzie ściśle związani z polityką w naszych własnych krajach, bylibyśmy postawieni pod pręgierzem za folgowanie sobie w żądach cielesnych. Obaj dobrze wiemy, że zarówno w moim jak i w pańskim kraju niektóre gazety tylko czekają na to, by zdyskredytować w oczach wszystkich monarchię i cały establishment i z przyjemnością opublikowałyby taki epizod.



- Ja, ja, rozumiem - odparł szybko baron - byłoby to fatalne w skutkach, gdyby zostało podane do publicznej wiadomości.

- Myślę nawet bardziej o panu niż o sobie - kontynuował lord Braydon. - W końcu ja mam dobrą pozycję na dworze i mam ten zaszczyt, że księżę Walii jest moim przyjacielem. Pan jest szczególnie narażony, gdyż zajmuje stanowisko związane z Marynarką Wojenną - lord zniżył głos i dodał: - Być może nie powinienem tego mówić, ale zanim wyjechałem z Anglii, słyszałem pogłoski, że Rosjanie podejrzewają was o posiadanie nowej, tajemniczej broni, którą chętnie dołączyliby do swego uzbrojenia i dlatego pana szpiegują.

- Szpiegują mnie? Rosjanie? - wykrzyknął baron z przerażeniem.

- Może to być oczywiście nieprawdą, ale oni wierzą, że posiadacie nowe działo lub minę, nie mam pojęcia co, i oczywiście chcieliby to zdobyć dla własnej marynarki wojennej.

- Więc się mylą, całkowicie się mylą - ostro zaprzeczył baron. - Ta nowa broń nie ma nic wspólnego ze mną, absolutnie nic!

- Rosjanie jak zwykle mylą się we wszystkim - powiedział grzecznie lord, zadowolony, że udało mu się dowiedzieć, tego czego chciał. - Dla mnie ważne jest co innego, muszę pana prosić, drogi baronie w moim własnym i pańskim interesie, aby o sprawie, która wydarzyła się poprzedniej nocy, mówiono jak najmniej.

Baron skinął głową.

- Dopilnuję, aby „Madame” nic nie mówiła - zgodził się - chociaż może to być nieco kosztowne.

Baron wyczekująco spojrzał na lorda.

- Przewidziałem to - rzekł Braydon - i dlatego przygotowałem czek, który, jak myślę, powinien pokryć wszelkie koszty związane z tą sprawą.

Lord wziął czek z biurka i wręczył go baronowi, który spojrzał na wypisaną na nim kwotę i powiedział:

- Hojnie, bardzo hojnie! Mogę panu przyrzec lordzie, że nie będzie z tą sprawą już żadnych kłopotów.

- Chcę mieć pewność - odparł lord - że nikt nie dowie się o tym, że moja podopieczna przebywa ze mną w Berlinie. Zabiorę ją z powrotem do Anglii tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

- Bardzo mądrze - zgodził się baron. Spojrzał na lorda i dodał: - Proszę mi wybaczyć, ale nadal jestem ciekawy dlaczego pan w ogóle przybył do Berlina.

Lord Braydon uśmiechnął się.

- Przypuszczałem, że pan o to spyta i ponownie muszę prosić o zatrzymanie tego, co powiem, w tajemnicy.

- Ależ oczywiście, oczywiście.

- Jestem tutaj w sprawie, która nam może wydawać się błaża, ale jest ważna dla księcia Walii.

Baron spojrzał na lorda pytającym wzrokiem, ale nie odezwał się ani słowem.

- Pamięta pan z pewnością całą tę ubiegłoroczną aferę w Cowes, kiedy władca Niemiec wycofał z regat o Puchar Królowej „Meteora I”, tłumacząc, że czynione mu trudności są nie fair.

- Tak, rzeczywiście tak było - odparł baron.

- Księżę Walii dowiedział się, że przed wyjazdem z Cowes cesarz poprosił George'a Lennox'a Watsona, projektanta „Britannii”, o wybudowanie jachtu, który byłby jeszcze szybszy od „Meteora I”.

Baron znów skinął głową i lord domyślił się, że sprawy związane z marynarką wojenną muszą być znane jego gościowi.

- Księżę Walii poprosił mnie, abym się dowiedział, czy rzeczywiście taki jacht jest budowany i czy cesarz ma zamiar wziąć udział w przyszłorocznych regatach w Cowes.

Baron się roześmiał.

- A więc to jest ta pańska misja, lordzie!

- Chciał, bym się o tym dowiedział bez udziału ludzi pańskiego pokroju.

Baron znów się roześmiał i powiedział:

- Mogę od razu dać panu odpowiedź, zgodną z prawdą, że niewątpliwie Jego Wysokość zamierza się ścigać na „Meteorze II” w Cowes, ale wątpię, by jacht ten był gotowy wcześniej niż przynajmniej w ciągu dwóch lat

Lord Braydon odetchnął z ulgą.

- Ta informacja zaoszczędzi mi wielu kłopotów, baronie i jeszcze raz pragnę przeprosić, że wczoraj wieczorem postawiłem pana w tak niezręcznej sytuacji. Naprawdę nie miałem możliwości ostrzec pana o tym, co może się zdarzyć po moim wyjściu.

- Nein, nein, rozumiem - odparł baron. - W tych okolicznościach nie mógł pan niczego innego zrobić.

- Wiedziałem, że pan mnie zrozumie. Chciałbym również podziękować za wspaniałą kolację i będę wypatrywał kolejnej wizyty pana i pańskiej czarującej małżonki w Anglii, aby zrewanżować się za gościnność przyjęciem w mojej posiadłości.

- Ja też z góry się na to cieszę - powiedział baron. Zanim podniósł się z fotela, niechętnie odstawił kieliszek. - Czy jest jeszcze coś w czym mógłbym panu pomóc?

- W tej chwili nie, ale dziękuję za troskę, no i oczywiście za informację o „Meteorze II”.

Baron zachichotał i powiedział z satysfakcją:

- Myślę, że „Britannia” księcia Walii nie ma żadnych szans w walce z „Meteorem II”.

Idąc w kierunku drzwi lord ostrzegł:

- Proszę być ostrożnym, baronie. Wiem, że jest pan ważną postacią na dworze cesarza, a Rosjanom bym nie ufał.

- Nie wiem dlaczego miałoby sądzić, że mam cokolwiek wspólnego z tym nowym wynalazkiem, z którego cesarz jest taki zadowolony. - powiedział ze złością baron. - To sprawa Edersniera i mam nadzieję, że nie zaprzepaści tego.

W tym momencie baron zreflektował się, że wyjawiał jedną z tajemnic państwowych i dodał:

- Wszystko, co zostało tutaj dzisiaj powiedziane, nie wyjdzie, oczywiście, z czterech ścian tego pokoju, prawda?

Było to pytanie, więc lord pospieszył z odpowiedzią:

- Polegam na panu, baronie i wierzę, że zatrzyma pan dla siebie imię mojej wychowanki oraz fakt, że w sprawę tę wplątana była Jej Wysokość Królowa Anglii.

- Proszę się o to nie martwić - odparł baron. Mężczyźni wyszli na korytarz i lord Braydon

zjechał z baronem windą na dół i odprowadził go do powozu, który już na niego czekał. Kiedy wrócił na górę, Loelia czekała w salonie. Była rozpromieniona i gdy go ujrzała, podbiegła do niego mówiąc:

- Jest pan... wspaniały! Taki... przebiegły! Gdy - by tylko papa mógł słyszeć jak łatwo... wyciągnął pan z barona imię tego człowieka, który papę... więzi.

- Skąd może być pani pewna, że to ten sam człowiek?

- Gdy baron mówił o tej broni, skoncentrowałam się na jego myślach - powiedziała Loelia po chwili milczenia - i sądzę, że wiem jak ów Edersnier wygląda.

- Naprawdę? - wykrzyknął lord. - Więc proszę mi powiedzieć!

- Jest starszy od barona - powiedziała cicho dziewczyna - i ma wąsy zakręcone na końcach, w taki sam sposób, w jaki nosi je cesarz i są one tak samo białe, jak jego włosy.

Lord patrzył na nią z niedowierzaniem:

- Ale skąd pani może coś takiego wiedzieć?

- Wiem, że mi pan nie wierzy i podejrzewa, że mówię same bzdury, ale papa nauczył mnie czytać ludzkie myśli tak samo, jak on to robi i kiedy mówiliście o dziale, baron skierował swe myśli na człowieka związanego z tą sprawą, a ja je „odebrałam”, stąd wiem jak ten człowiek wygląda.

- Jeśli to prawda, na pewno nam pomoże - powiedział lord i podszedł do drzwi swej sypialni, otwierając je jednym pchnięciem, jako że były już uchylone, aby Loelia i Watkins mogli słyszeć rozmowę w salonie. Watkins porządkował właśnie ubrania w szafie i lord zwrócił się do niego:

- Gdzie mogę znaleźć zdjęcie człowieka, o którym wspomniał baron?

- To nie będzie trudne, proszę pana - odparł Watkins. - Wszyscy wiedzą, że Niemcy lubią robić sobie zdjęcia i można je kupić w wielu sklepach.

- Idź więc i spróbuj coś znaleźć - powiedział lord Braydon.

- Zajmę się tym. Kupię też coś na obiad dla panienki Loelii, jeśli ma tu jadać.

- Będzie tu jadać - powiedział stanowczo lord - a ja jak wiesz, Watkins, jestem umówiony.

Loelia cicho zaprotestowała:

- Czy musi pan iść? Czuję, że jak najszybciej powinniśmy zrobić coś dla papy - znów zobaczyła znajomy wyraz twarzy lorda i szybko dodała: - ależ ja nic nie wymyślam, po prostu czuję, że cierpi.

- Chce pani powiedzieć, że go torturują?

- Nie chciałabym... tak myśleć, ale jestem pewna, że może do tego dojść.

Lord Braydon poważnie traktował słowa Loelii, ale odrzekł:

- Sądzę, że błędem byłoby odwoływać spotkanie, na które już wcześniej wyraziłem zgodę. Ponadto spotkam się z kapitanem „Weissenburga” i mam nadzieję, że dowiem się czegoś interesującego - przerwał i po chwili dodał: - Tymczasem proszę użyć własnych sposobów skontaktowania się ze swoim ojcem i być może potem, choć jest to mało prawdopodobne, dojdziemy razem do jakichś wniosków.

- Jestem pewna, że... uratuje pan papę, jestem pewna, że... pan to robi - odparła Loelia. - Jak dobrze, że jest pan tutaj. Wiem, że... sama bym sobie nie poradziła.

Lord nie odzywał się, ale Loelia wiedziała o czym myśli i dodała:

- Ma pan rację. Strasznie się wstydzę swej głupoty, ale... tak bardzo chciałam pomóc papie. Nie było nikogo, kto chciałby mi towarzyszyć i nie znalazłam osoby, której mogłabym zaufać.

- Nigdy więcej nie wolno pani tego powtórzyć - powiedział lord - i możemy mieć tylko nadzieję, że baron zatrzyma dla siebie całą sprawę i uciszy również „Madame”.

- Spodziewam się, że ona wszystko zrobi dla pieniędzy. Czuję się tylko niezręcznie, że... musiał pan tyle na mnie wydać - spojrzała na niego nieśmiało. Najwyraźniej było jej wstyd, że sprawia lordowi taki kłopot.

Ale on uśmiechnął się do niej w sposób, który rozbija każdą kobietę i powiedział:

- Proszę o tym zapomnieć, a kiedy znajdziemy pani ojca, powiem mu, że w przyszłości musi na panią bardziej uważać.

- Kiedy go pan znajdzie, może mu powiedzieć co tylko zechce. Ale niech to się stanie wkrótce, jak najszybciej, bo czuję, że może być... za późno!

Mówiąc ostatnie słowa, Loelia stłumiła płacz i szybko podeszła do okna, aby się całkiem nie rozkleić. Lord, pamiętając jej drzenie i płacz z poprzedniej nocy, gdy uratował ją z opresji, powiedział gniewnie:

- Trzeba się panią porządnie zająć - i patrząc na jej błyszczące w słońcu, złote włosy pomyślał, że jest zbyt młoda i zbyt śliczna, aby ją miały spotykać tak niemiłe i niebezpieczne przygody, jak ta związana z jej ojcem.

- Muszę się szybko dowiedzieć gdzie jest - powiedział lord i wtedy Loelia zaczęła mówić nieswoim głosem:

- Papa jest w... wysokim domu, przed którym jest... chodnik, stoi tam też podwójna straż...

Lord wpatrywał się w nią, ale dziewczyna stała w bezruchu:

- Papa znajduje się... gdzieś pod ziemią, może w... piwnicy... to jest pokój z długim stołem na środku i na tym stole są jakieś papiery i... jestem pewna, że ojciec ma... na nich napisać coś lub może narysować jakiś plan.

- Czy widzi pani swojego ojca?

- Nie, ale czuję, że tam jest... czuję jego vibracje... myśli o mnie, mówi mi, co się stało i gdzie go szukać.

Jej głos zamarł, nastąpiła cisza, po której dziewczyna zwróciła się do lorda, pytając:

- Czy to coś pomoże?

- Na pewno tak, ale niestety, w tym kraju jest wielu wysokich urzędników, którzy są wystarczająco ważni, aby mieć straż przed domem.

- Gdyby mógł mi pan podać nazwiska osób, które mają takie domy...

- Nie możemy mieć żadnej pewności - powiedział lord Braydon. - To równie dobrze może być projektant broni, jak i jej wykonawca, ale żaden z tych ludzi na pewno nie ma dostatecznej władzy, by więzić pani ojca.

Loelia westchnęła.

- Proszę... pozwolić mi spróbować... nie może pan wiedzieć, nieprawdaż?

Było niemożliwe, aby lord dał jej odpowiedź jakiej oczekiwała.

- Oczywiście, że nie - odparł. - Ale jeśli połączymy nasze siły, na pewno uratujemy pani ojca.

Mówił bardziej optymistycznie, niż faktycznie myślał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli Thurston Standish został uwięziony, władze niemieckie zrobią wszystko, aby uniemożliwić mu ucieczkę.

Aby zmienić temat, powiedział do Loelii:

- Proszę mi opowiedzieć o swojej rodzinie. Mimo że słyszałem jaki pani ojciec jest wspaniały, właściwie nic o nim nie wiem i oczywiście interesuje mnie dlaczego nikt nie opiekuje się panią podczas jego nieobecności.

Loelia się uśmiechnęła.

- Papę i mnie uważano za „czarne owce” rodziny - a widząc zaskoczenie na twarzy lorda, wyjaśniła: - mój dziadek uważał, że papa, jako jego jedyny syn, powinien wstąpić do wojska.

- Kto jest pani dziadkiem?

- Generał Mortimer Standish - Drew.

- Wielkie nieba! - wykrzyknął lord. - Nie miałem o tym zielonego pojęcia! Znam pani dziadka, oczywiście że go znam! Był bohaterem, kiedy przechodził na emeryturę i wszyscy podziwiali jego talent w kampaniach wojennych, jakie przeprowadził w Indiach i Afryce.



- Oczywiście, ale papa nie zamierzał iść w jego ślady ani robić tego, co mu kazano. Dlatego, kiedy był całkiem młody zdecydował, że chce podróżować, uczyć się języków i pisać książki o dziwnych ludziach, których spotka na swojej drodze.

- Czy te książki będą dostępne dla każdego?

- Będą, gdy je opublikuje.

- Czy chce pani powiedzieć, że już je napisał?

- Tak, dwie. Pomagałam mu przy nich i na pewno mogę stwierdzić, że są to najbardziej niesamowite książki, jakie kiedykolwiek czytałam - widząc dziwny wyraz twarzy lorda, szybko dodała: - Nie, nie, nie ma tam żadnych tajemnic państwowych. Wszelkie tajemnice papa przechowuje w specjalnym miejscu, aż się zdezaktualizują. Obawiam się tylko czy będzie wolny, czy będzie mógł nacieszyć się zasłużonym sukcesem autorskim.

- Nie powiedziała mi pani jeszcze czy ma pani jakichś innych krewnych, którzy mogliby się nią zaopiekować.

Loelia się uśmiechnęła i lord zauważył, że w jednym policzku robi się jej dołeczek.

- Tak naprawdę - powiedziała - to jestem tak szczęśliwa z papą, że odrzuciłam kilka propozycji ciotek i kuzynek, które oferowały mi swój dom.

Obawiając się dezaprobaty lorda, szybko dodała:

- Mama przed śmiercią wymogła na mnie przyrzeczenie, że będę się opiekowała papą. Jak wszyscy wspaniali ludzie, papa nigdy nie myśli o sobie. Gdy tylko wypełni swe, jak to nazywa, „misje”, wraca do domu wycieńczony, gdyż albo odżywia się niewłaściwie i o niewłaściwych porach albo czasami nie jada wcale i często nie sypia przez kilka nocy z rzędu.

- Ale mimo wszystko - powiedział łagodnie lord - myślę, że ktoś powinien się panią opiekować.

Loelia się roześmiała:

- To byłoby strasznie nudne, wszyscy ci ludzie mówiący mi „zrób to” albo „zrób tamto” albo, co zawsze robi jedna z moich ciotek, „Loelio, kochanie, musisz starać się zachowywać jak na damę przystało”.

Tak doskonale udało jej się naśladować głos ciotki, że lord mimo woli się roześmiał.

- Czy to takie trudne? - spytał.

- Dla mnie tak. Nie chcę być damą, która stale chodzi na bale i przyjęcia i musi słuchać tych wszystkich głupich rozmów młodych ludzi, których największą ambicją jest poznanie zwycięzcy Derby.

Oczy lorda zaiskrzyły.

- To dosyć ostre określenia.

- Ale prawdziwe! Poza tym, na tle papy, każdy młody mężczyzna wydaje mi się nudny i głupi. I dlatego nigdy nie wyjdę za mąż!

- Nie zamierza pani wyjść za mąż, naprawdę? - spytał z niedowierzaniem lord.

- Jak mogłabym na całe życie zostać przywiązana do mężczyzny, który nie zna niczego niebezpieczniejszego od upadku z konia - ponieważ lord Braydon nie odpowiadał, Loelia ciągnęła dalej - mężczyzny, który nie przeczytał ani jednej książki odkąd opuścił szkołę i który uważa, że każda młoda kobieta, taka jak ja, powinna być mu wdzięczna, że w ogóle raczył się do niej odezwać.

Lord odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął śmiechem.

- Może się pan śmiać, ale wie, że mówię prawdę. W rzeczywistości, kiedy opowiadał pan baronowi tę bajeczkę o kawalerze, który chciał się niby ze mną ożenić, nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że ten przynajmniej mógłby okazać się bardziej interesujący od wszystkich młodych mężczyzn, których dotychczas spotkałam.

- Nie może pani oczekiwać, abym nie czuł się urażony taką uwagą - powiedział lord. Zdał sobie sprawę, co wydawało się nieprawdopodobne, że Loelia nie myślała do tej pory o nim jako o młodym człowieku. W pociągu to do niego najpierw zwróciła się w poszukiwaniu opieki. Kiedy ją uratował i wywiózł z „przybytku rozkoszy”, traktowała go jak anioła stróża. Nie widziała w nim normalnego, żyjącego mężczyzny. Lord Braydon dopiero teraz to zrozumiał. Uświadomił sobie, że to prawda. Widząc, że Loelia się zaczerwieniła i zdając sobie sprawę, że może być zakłopotana tym co powiedział, szybko dodał:

- Tylko się z panią droczę i naprawdę nie czuję się obrażony.

- Ale... ale ja o panu nie myślałam w ten sposób. Wiem, że... jest pan... bardzo, bardzo... mądry i zachowywał się dokładnie tak samo, jak czyniłby to papa w podobnych okolicznościach.

Lord wiedział, że nic nie mogło być dla niego równie pięknym komplementem.

- Dziękuję pani, Loelio, i mam nadzieję, że w przyszłości uda mi się sprostać pani oczekiwaniom co do mojej osoby.

## Rozdział 4

Lord Braydon wyszedł na lunch, który okazał się bezowocny i jeszcze nudniejszy od przyjęcia, w którym uczestniczył poprzedniego wieczoru. Musiał odpowiedzieć na wiele pytań dotyczących zachowania księcia Walii, chociaż był w tej sprawie dość powściągliwy. Jego gospodarze pytali też o Królową, o której wyrażali się z odcieniem lęku połączonym z zazdrością. Lord zorientował się, że Niemcy przeżywają frustracje i mają poczucie niższości z powodu rozmiarów Imperium Brytyjskiego. Sprawa ta wpływała w rozmowach przy każdej możliwej okazji i lord Braydon był już nieco zmęczony ciągłą obroną pozycji Anglii w świecie.

Po lunchu szybko powrócił do apartamentu. Został powitany przez Loelię z okrzykiem radości:

- Znaleźliśmy! Znaleźliśmy! - wyciągnęła do niego fotografię, która została zrobiona w czasie ceremonii z udziałem wielu admirałów Marynarki Wojennej i samego cesarza, widocznego w centrum zdjęcia. Loelia wskazała mężczyznę siedzącego w tylnym rzędzie. Nie mogła się pomylić. Człowiek ten miał wąsy prawie identyczne jak cesarz, z jednym wyjątkiem, były zupełnie białe. U dołu fotografii wydrukowano nazwiska i okazało się, że człowiek z białymi wąsami to Eder Edersnier. Nie miał przedrostka „von” przed nazwiskiem i był tylko komandorem, podczas gdy wszyscy inni mężczyźni na zdjęciu to admirałowie. To upewniło lorda Braydona, że jego działalność w marynarce wojennej musi mieć specjalny charakter.

Lord patrzył przez chwilę na fotografię, starając się zapamiętać twarz owego człowieka.

- Czy jest pani pewna, że to właśnie jego pani widziała w swoich myślach?

- Najzupełniej pewna - wykrzyknęła Loelia.

- Gdzie jest Watkins? - spytał lord. Dopiero teraz zauważył, że Loelia jest sama.

- Po znalezieniu i przyniesieniu mi tej fotografii, wyszedł znowu by się dowiedzieć, gdzie mieszka komandor Edersnier.

Nie spodobało się to zbytnio lordowi, jako że nie lubił, gdy Watkins robił coś bez porozumienia z nim. Wyczuwając jego złość, Loelia szybko powiedziała:

- Proszę się na niego nie gniewać. To ja byłam tak... niecierpliwa, chciałam sama iść i... rozpocząć poszukiwania, ale Watkins powiedział, że pan by się gniewał.

- I miał rację - zgodził się lord.

- Kiedy Watkins dowie się, gdzie więziony jest papa, będę musiała znaleźć sposób, aby się z nim skontaktować.

- Najpierw jednak ustalmy jedną rzecz - powiedział stanowczo lord Braydon. - Nie robi pani absolutnie niczego bez mojej zgody. Ponadto, uważam, że nie powinna pani opuszczać tego mieszkania.

Loelia spojrzała na niego i powiedziała:

- Przyjechałam do Berlina... sama... aby pomóc papie.

- I by w ten sposób popaść w kłopoty. Myślał, że Loelia będzie się z nim kłócić, ale ona podeszła tylko do okna i spojrzała na skąpany w słońcu świat. Po chwili milczenia powiedziała:

- Nie powstrzyma mnie pan... od uratowania papy.

- Oczywiście, że nie, ale jeśli ma pani zamiar zrobić to sama, proponuję, aby wróciła pani tam, skąd zabrałem ją poprzedniej nocy i zapomnimy, że kiedykolwiek byłem zamieszany w tę sprawę - mówił to tak jakby mógł mówić do zbuntowanego rekruta i kiedy Loelia spojrzała na niego, z jej twarzy wyczytał, że jest okrutny.

- Jak pan może... mówić coś takiego - spytała - wiedząc, że gdyby mnie wczoraj nie uratował, może w tym... momencie próbowałabym sobie... odebrać życie.

Mówiła bardzo cicho, a po chwili podbiegła do lorda i powiedziała:

- Proszę mi wybaczyć... proszę mi wybaczyć - błagała. - Nie powinnam się z panem kłócić. To wszystko dlatego, że strasznie martwię się o papę. Wiem, że mu grożą i że chcą go zmusić do czegoś, czego absolutnie nie może zrobić.

Stała przed lordem, skruszona, z oczami pełnymi łez i drżącymi ustami. Wyglądała jednocześnie tak ślicznie, że lord Braydon poczuł neodpartą chęć objęcia jej i pocałowania. „To nie dlatego” - wmawiał sobie - „że jest powabna jak księżniczka”. Właściwie w tym momencie myślał o niej jak o dziecku, któremu śnił się właśnie koszmar i które oczekuje pocieszenia. Domyślał się, że nigdy jeszcze nie była całowana przez mężczyznę i mogłaby źle zrozumieć jego intencje. Powiedział więc cichym głosem:

- Zgadzam się, że musimy szybko odnaleźć pani ojca, ale nasze kłótnie i dramatyzowanie na pewno mu nie pomogą.

- Ma pan rację, oczywiście... proszę mi wybaczyć.

- Nie mam pani czego wybaczać. Musimy jednak usiąść i spokojnie przemyśleć co zrobimy, gdy pojawi się Watkins i powie nam, gdzie znajduje się dom owego człowieka.

- Na pewno okaże się to dokładnie ten sam dom, który widziałam - powiedziała Loelia. - Byłoby dobrze gdybym mogła stanąć koło tego budynku, gdyż może wtedy udałoby mi się skontaktować z papą. Jestem pewna, że z bliska stałoby się to łatwiejsze.

- Uważam, że to bardzo nieroztropne stać w pobliżu tego domu, ale może moglibyśmy przejechać obok niego powozem.

- Moglibyśmy tak zrobić?

- Na pewno uda nam się coś zorganizować - mówiąc to lord usłyszał, że ktoś wchodzi do mieszkania i po chwili w salonie pojawił się Watkins.

- Znalazłem dom, mój panie, jest na Dahlern Strasse i stoi przed nim podwójna straż, dokładnie tak jak to opisała panienska Loelia - uśmiechnął się do dziewczyny i ciągnął dalej. - W domu jest suterena, którą używa służba, a pod nią znajduje się piwnica.

- Byłam tego pewna - szepnęła Loelia.

- Tuż nad ziemią można zobaczyć kraty, przez które z pewnością dociera powietrze do piwnicy.

- Kraty! - wykrzyknęła Loelia. - A gdyby je tak otworzyć, czy mógłby się ktoś przez nie przedostać?

- Tylko ktoś o rozmiarach dziecka - odparł Watkins i, przyjrzawszy się uważnie Loelii, dodał: - Panience by się to udało, gdyby potrafiła być zwinna jak wąż.

- Zanim będziemy kontynuować - przerwał lord - powiem tylko, że panienska Loelia nie zrobi niczego, co proponujesz. Jeśli będziemy próbować uratować jej ojca, zaczeka tutaj aż go do niej przyprowadzimy.

- Do tego mnie pan nie zmusi - oburzyła się Loelia. - Jeśli mogę się do czegoś przydać, chociażby do tego, o czym mówi Watkins, nie będę siedzieć z założonymi rękami.

Watkins spojrzał na swego pana.

- Ani pan ani ja, Wasza Lordowska Mość, nie precisnęlibyśmy się przez tak mały otwór, za wąski nawet dla takiej szczupłej panienski Loelii. Chociaż z tego co mi mówiła, sędzę, że jest przyzwyczajona do wspinania się po różnych dziwnych miejscach.

Lord spojrzał na Loelię z wyrzutem za jej niedyskrecję.

- Opowiedziałam Watkinsowi tylko o dwóch przygodach, jakie mieliśmy z papą w przeszłości - i widząc, że lord nadal nie został przekonany, dodała: - Raz, na przykład, kiedy uwięzili nas bandyci dla okupu, udało mi się wydostać na zewnątrz przez komin i znaleźć ludzi, którzy uratowali papę.

- Bandyty to nie to samo co Niemcy. Ci najpierw strzelają do intruza, a potem zadają pytania.

- Jeśli to jedyny sposób, aby uwolnić papę, będę musiała zaryzykować.

- To jest ryzyko, na które ja pani nie pozwolę - powiedział stanowczo lord Braydon.

- Jak pan może być taki okrutny, aby pozwolić na torturowanie papy, podczas gdy możemy go wydostać, nie wzbudzając niczyich podejrzeń?

- Jak pani to sobie wyobraża? - spytał pogardliwie lord. - Przecież pani wie, że domu pilnują podwójne strażę, a wewnątrz z pewnością kręci się masa służby. Ponadto, jeśli działło jest takie ważne jak przypuszczamy, na pewno cały czas go strzegą.

- Działła nie ma w tym domu - powiedziała Loelia miękki głosem, którego używała gdy czytała w swych myślach.

- To dlaczego jest tam pani ojciec?

- Myślę - odparła powoli - że może papa był blisko działła albo Niemcy zorientowali się, że wie zbyt dużo. Dlatego chcą zmusić go do wyjawienia tajemnic brytyjskiej marynarki wojennej, zanim go zabiją.

Było to tak inteligentne wyjaśnienie, że lord spojrzał na Loelię ze zdumieniem.

- To tylko przypuszczenia, właściwie nie mamy żadnej pewności, że pani ojciec znajduje się w tej piwnicy.

- Ale ja to wiem, naprawdę wiem! - gwałtownie wstała z sofy i powiedziała: - Proszę mi pomóc i... uwierzyć. Wszystko, co panu dotychczas powiedziałam, jest prawdą tak jak to, że tu stoję. Mogę przysiąc przed Bogiem, że niczego nie wyolbrzymiam i że papa znajduje się w bardzo niebezpiecznym położeniu. Musimy się pospieszyć z ratunkiem.



Szczerota, z jaką to powiedziała, była tak przekonująca, że lord Braydon skapitulował:

- Dobrze więc, ale mam nadzieję, że jeśli panią zabiją lub uwiężą, nie będzie to ciążyło na moim sumieniu przez całe życie.

- Jeśli stanie się to najgorsze, będzie pan musiał o mnie zapomnieć. W końcu znalazłam się w pańskim życiu przez przypadek i jeśli w taki sam sposób z niego zniknę, nie będzie się pan musiał martwić.

Lord Braydon czuł jednak, że nie tylko nie mógłby się nie martwić, ale nawet nie potrafiłby już zapomnieć Loelii. Pomyślał jednak, że nie czas teraz, aby o tym mówić i zwrócił się do Watkinsa:

- W jaki sposób moglibyśmy się dostać do domu komandora?

- Myślałem o tym, mój panie, i uważam, że jest to jedyna okazja, aby zrobić pan użytek z tabletek, które otrzymał w czasie ostatniej wyprawy.

Lord podniósł brwi. Wiedział doskonale, co Watkins ma na myśli. Prawie już zapomniał o tabletkach, które dostał od pewnego chińskiego naukowca z Hongkongu. Lord został wówczas wciągnięty w ratowanie gubernatora przed zamachem. Cała akcja była niezwykle i bardzo skomplikowana. Już dużo później lord często myślał, że właściwie tylko łut szczęścia pomógł mu w uratowaniu życia gubernatora, a także w postawieniu przed sądem gangu przestępców, którzy chcieli przejąć władzę. To wszystko czego wtedy dokonał, było objęte ścisłą tajemnicą, a o całej sprawie wiedział jedynie minister spraw zagranicznych i złożona została w aktach opatrzonych napisem „Ścisłe tajne”.

Za udział w tej niezwykle ryzykownej operacji lord otrzymał od chińskiego naukowca kilka specjalnych tabletek, które, jak powiedział, mogą mu się przydać w przyszłości.

- Mam nadzieję, że już nic podobnego się nie zdarzy - powiedział wtedy lord Braydon.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł naukowiec - a to jest moje odkrycie, z którego jestem bardzo dumny.

- Proszę mi o tym opowiedzieć - poprosił lord, widząc, że naukowiec tylko na to czeka.

- Tabletki te tak otępiają człowieka, że chociaż otoczeniu wydaje się całkiem normalny i wykonuje swe zwykłe zajęcia i wszelkie obowiązki, w rzeczywistości jest kompletnie nieświadomy, co się wokół niego dzieje.

- Nie rozumiem.

- Na krótko staje się marionetką, którą kieruje wyłącznie przyzwyczajenie, a nie umysł, jak to normalnie bywa.

- Brzmi to doprawdy niezwykle! - zauważył lord.

- Bo to jest niezwykle! - odparł naukowiec - Dodatkowym plusem okazuje się jeszcze to, że kiedy tabletki przestaną działać, osoba, która była pod ich wpływem, zupełnie nie zdaje sobie sprawy, że zdarzyło się coś niezwykłego.

- To rzeczywiście wygląda na użyteczną rzecz w razie nagłej potrzeby - uśmiechnął się lord.

Przyjął tabletki jako prezent, wiedząc, że w tym momencie były one dla owego naukowca najwartościowszą rzeczą jaką posiadał. Nigdy nie miał okazji ich użyć. Nie zaskoczył go jednak fakt, że Watkins przywiózł je ze sobą do Niemiec, myśląc, że mogą się przydać.

Umysł lorda Braydona ponownie zaczął pracować na przyspieszonych obrotach i wkrótce wiedział on co powinni zrobić. Najpierw postanowił zdobyć dla siebie zaproszenie na kolację do komandora Edersniera. Bez dłuższego zastanowienia napisał do niego list, powołując się na księcia Walii, który to list Watkins dostarczył do domu przy Dahlern Strasse. Lord dawał w nim do zrozumienia, że zanim opuści Berlin, musi się z nim zobaczyć, aby przekazać mu ważną

wiadomość od Pierwszego Lorda Admiralicji, jak również od księcia Walii. W związku z tym zaprasza komandora, o ile to nie sprawi kłopotu, do swojego apartamentu na kieliszek wina po kolacji. Potem jeszcze napisał:

Proszą mi wybaczyć, że nie mogą zaprosić Pana na kolacją, ale nie przewidywałem, że spędzę w Berlinie więcej czasu i nie poczyniłem odpowiednich przygotowań kulinarnych. Jestem pewien jednak, że co najmniej nieroztropne byłoby z naszej strony prowadzenie tego rodzaju rozmowy w jakimkolwiek publicznym miejscu i dlatego kameralne spotkanie będzie najwłaściwsze.

Lord wiedział, że to przynajmniej zaintryguje komandora, szczególnie że list został opatrzony napisem „Poufne, doręczyć do rąk własnych”. Watkins, który czekał na odpowiedź, wkrótce wrócił, zgodnie z przewidywaniami lorda, z zaproszeniem na kolację. Od Watkina lord dowiedział się nieco o rozkładzie domu i służbie. Byli to w większości ludzie starzy i nieco głusi. Lord pomyślał, że komandor zatrudnia ich, bo pewnie są z nim związani od dłuższego czasu albo po prostu są tańsi od służących w innych domach. Ku zadowoleniu lorda, kiedy Watkins poprosił o szklankę wody, główny kamerdyner sprowadził go na dół do kuchni, która okazała się dość staroświecka. Jak opowiadał Watkins, byli tam tylko kucharka, podkuchenny i jakiś starszy człowiek, który nosił drewno i węgiel na opał. - Kucharka powiedziała mi, że ona i główny kamerdyner, który jest jej mężem, zajmują się domem, a ich pan jest w tej chwili sam, gdyż jego żona wyjechała na wieś.

Lord Braydon pomyślał, że to tylko ułatwia sprawę i dlatego mruknął jakby do siebie:

- Domyślam się, że będzie nieco zamieszania w związku z moją nieoczekiwaną wizytą.

- Na pewno, Wasza Lordowska Mość - zaśmiał się Watkins. - Faktycznie, wręczając mi list komandor nie wydawał się zbyt zachwycony. „Powiedz swojemu panu” - powiedział - „aby przyjechał punktualnie o ósmej. Trudno o dobrą kuchnię, gdy ludzie się spóźniają”.

- Jakim człowiekiem ci się wydał? - zapytał lord.

- Typowy Niemiec i na pewno daleko mu do dżentelmena.

Loelia słuchając tego, wtrąciła;

- Nie sądzę, aby to komandor wymyślił tę broń, ale możliwe, że stoi na czele ludzi, którzy jej pilnują.

- Jestem gotów się z tym zgodzić - odparł lord - ale, oczywiście, dowiemy się czegoś więcej dopiero kiedy odnajdziemy pani ojca.

Loelia posłała mu uśmiech, wyczuwając teraz w jego głosie zupełną pewność. Lord pomyślał, że miłość Loelii do ojca jest bardzo wzruszająca i że znał niewiele kobiet zdolnych do takiego oddania sprawie ratowania swojego ojca, męża czy kochanka. A ona gotowa była nawet ryzykować życie.

Jako że Loelia bardzo nalegała, lord wynajął powóz i pojechali razem na Dahlera Strasse. Na szczęście ruch był dość duży i powóz mógł przejechać koło domu powoli, nie przyciągając niczyjej uwagi. Wyraz twarzy Loelii dowodził, że usilnie stara się przesłać swe myśli ojcu. Chciała mieć absolutną pewność, czy rzeczywiście przebywa on w tym domu - tak jak myślała.

Nic nie mówiła, dopóki nie oddalili się całkiem od domu. Wtedy powiedziała:

- On tam jest... i mam wrażenie, że słabnie... Jeżeli... nie uratujemy go do jutra, może być... za późno.

Ponieważ przy ostatnich słowach głos jej zaczął drżeć, lord wziął ją za rękę.

- Staniemy na głowie, aby go uratować - proszę wybaczyć mój język - ale nic ponad to nie możemy zrobić.

- Tak... wiem... - odparła Loelia.

Jej palce drżały w jego dłoni i miał wrażenie, że trzyma małego, przerażonego ptaszka.

- Jedno jest pewne: musimy wierzyć, że nam się uda, bo inaczej moglibyśmy wytworzyć złą atmosferę, która nie sprzyja powodzeniu.

Loelia popatrzyła na niego ze zdziwieniem: - Więc pan rozumie... naprawdę pan... rozumie!

- Próbuję. Powiem może tak: akceptuję to, że posiada pani niezwykłą moc odbierania myśli swojego ojca.

Loelia zacisnęła palce na ręce lorda i powiedziała:

- Nie zapomni pan pomodlić się w czasie kolacji, aby nikt nas nie usłyszał - mnie i Watkinsa?

- Przysięgam, że będę się modlił! - odparł lord cicho.

Lord ubrany już w wieczorowy strój, przypomniał sobie, że nie ma peleryny. Oczywiście nie mógł jej odzyskać stamtąd, gdzie ją zostawił poprzedniej nocy. Watkins jednak pomyślał o wszystkim i znalazł podobną, należącą do właściciela mieszkania. Pomógł lordowi ją założyć, mówiąc:

- Jestem pewien, że ów dżentelmen nie będzie miał za złe, że pożyczylimy jego pelerynę. Przecież to dla dobra sprawy.

- Watkins, na miłość boską, opiekuj się panną Loelią. Czuję, że nie powinienem pozwolić jej brać udziału w tym przedsięwzięciu, ale nie widzę innego sposobu dowiedzenia czy to co mówi, jest prawdą i czy jej ojciec jest więźniem w tym właśnie domu.

- Ja nie zawahałbym się postawić ostatniego funta na to, że panienka ma rację - uwaga ta, w normalnych okolicznościach, zasługiwałaby na reprimendę, ale teraz lord powiedział tylko:

- Jeśli się pomyliła, zabierz ją stamtąd jak najszybciej.

- Tak, mój panie.
- Upewnij się, że woźnicy można ufać.
- Za dużo mu płacimy, aby nie można mu było ufać. I już poinstruowałem go, aby czekał po drugiej stronie drogi, pod drzewami. A stamtąd niewiele zobaczy - jak zwykle więc Watkins pomyślał o wszystkim.

Jednak żegnając się z Loelia, lord miał ochotę odwołać całą sprawę i zabrać dziewczynę do Anglii, gdzie przynajmniej mogłaby żyć z dala od wszelkich niebezpieczeństw. W żadnej z dotychczasowych wypraw nie towarzyszyła mu młoda kobieta i miał nadzieję, że taka sytuacja nigdy się nie powtórzy. Nie chciał jednakże, aby Loelia wiedziała o jego rozterkach, więc nakazawszy jej ostrożność, powiedział:

- Jeśli coś pójdzie nie tak, proszę za wszelką cenę uciekać i w jakikolwiek sposób wrócić tu do mieszkania. Czy pani rozumie?

- Oczywiście, że tak. I proszę się nie martwić. Spróbuję nawiązać z papą kontakt myślowy i przekazać mu, że do niego idę, aby był gotów pomóc mi, kiedy już go znajdę.

Mówiła z wiarą, jakiej brakowało lordowi. Nie mógł jednak nic zrobić, więc po prostu spróbował się do niej uśmiechnąć zanim zeszli na dół. Loelia miała na sobie długi płaszcz, który również pożyczyci od właściciela mieszkania. Był to płaszcz męski, a ponieważ Loelia była mała, sięgał jej aż do łydek i wyglądała nieco dziwnie. Lord Braydon popchnął ją szybko przez hol, w którym siedział służący i wyszli przed budynek, gdzie czekał powóz z zaufanym woźnicą. Gdy tylko ruszyli, Loelia zdjęła swój długi płaszcz. Lord Braydon podniósł tymczasem wieko siedzenia przeznaczonego dla pasażerów siedzących tyłem do woźnicy. Pod poduszką było sporo miejsca, gdzie przewożono zapas jedzenia na długą podróż lub wartościowe rzeczy pasażerów. I

właśnie miał tu być schowek dla Loelii, która musiała się tu teraz wcisnąć. Zrobiła to, zostawiając wieko siedzenia otwarte. Lord Braydon niemal doznał wstrząsu, zauważywszy że Loelia ma na sobie ściśle przylegające ubranie podobne do stroju woźnicy. Podkreślało ono kształty jej ciała i dzięki niemu żadne spódnice czy pelerynki nie ograniczały ruchów. Lord domyślił się, że ten zadziwiający strój na pewno był pomysłem Watkinsa, a jednocześnie zauważył, z niemałym zdziwieniem, że Loelia wcale nie czuła się skrępowana i nie miała zamiaru przeproszać za swój wygląd. Patrząc na nią zdał sobie sprawę, jaka była młoda i piękna, ale pomimo urody nie miała chyba wielu kontaktów z mężczyznami. Tych, których spotkała, niewątpliwie traktowała z pogardą.

Loelii nawet na myśl nie przyszło, że mogłaby się poczuć zawstydzona, gdyż sprawa, w którą się zaangażowała, była zbyt poważna. Chodziło przecież o życie jej ojca. W gruncie rzeczy to lord Braydon wydawał się bardziej przestraszony, dlatego że zdawał sobie sprawę z konsekwencji, jakie mogłyby nastąpić, gdyby odkryto ich spisek.

Kiedy podjechali pod dom komandora, lord wysiadł z powozu, a dziewczyna pozostała w swojej kryjówce. Strażnicy zaszalutowali, Watkins zadzwonił do drzwi, które otworzył główny kamerdyner. Lord został wylewnie powitany i kiedy już wszedł do domu i zamknięto drzwi, Watkins powiedział do strażników:

- Też chciałbym dostać dobrą kolację! Cały dzień wykonywałem rozkazy: „Zrób to”, „Zrób tamto”. Nie mam nawet czasu, aby się napić, nie mówiąc już o jedzeniu.

- Wiem, co czujesz - odparł młodszy ze strażników. - Nam też jest gorąco kiedy świeci słońce, a zimno kiedy wieje wiatr.

I wszyscy trzej mężczyźni roześmiali się jakby był to doskonały żart. Watkins znów się odezwał:

- Powiem wam co zrobię, pójde się napić. W powozie mam butelkę i wam też przyniosę po kubeczku. Co wy na to?

Zamilkli. Starszy ze strażników uważnie lustrował ulicę. Nie było nikogo. Wcześniej kręciło się tu pełno dzieci z nianiami i chłopców grających w piłkę, ale teraz wszyscy wrócili już do domów.

Po chwili strażnik powiedział:

- Jeżeli będziemy mieć oczy otwarte, to czemu nie.

- Miałem nadzieję, że usłyszę taką odpowiedź - ucieszył się Watkins. - Nie cierpię pić w samotności. Przesunę tylko powóz na drugą stronę pod drzewa, aby nikt nie widział, co robię - i dał znak woźnicy, żeby przejechał w umówione miejsce. Następnie podszedł do powozu, gdzie pomiędzy kołami był przyczepiony koszyk.

Otworzył butelkę bordo i napełnił jeden kubek, po czym wyciągnął dwa kolejne i drugą butelkę, której zawartość przeznaczona była dla strażników.

- Zaraz przyniosę dla siebie - powiedział wręczając im trunek - i napijemy się razem.

Strażnicy poczekali na niego. Watkins pośpiesznie wrócił ze swoim kubkiem i butelką, z której napełnił naczynia strażników. Szybko opróżnił swoją porcję i powiedział:

- Za nasze ukochane! Oby zawsze były piękne i chętne!

Niemcy roześmiali się i za namową Watkinsa wypili swe trunki do dna. Watkins natychmiast ponownie je napełnił, po czym odszedł do powozu, aby włożyć butelkę z powrotem do koszyka. Gdy po chwili spojrzął na strażników, znowu stali nieruchomo i chociaż w ręku nadal trzymali kubki, karabiny wróciły na ich ramiona.

Watkins odczekał około dwudziestu sekund, po czym otworzył drzwi powozu. Loelia, jak cień, przeszła przez drogę i zeszła po schodach do piwnicy. Kiedy przechodziła obok strażników, nawet na nią nie spojrzeli i Watkins był pewien,



że tabletki już działają. Zręcznie usunął więc kratę za pomocą małego przyrządu, który zawsze ze sobą zabierał w podróże z lordem Braydonem.

Otwór był niezwykle mały, Watkins wiedział, że nawet tak szczupła osoba, jak Loelia, z trudem się przezeń przecisnę. Ale dziewczyna powiedziała mu, że ćwiczyła jogę i zna nieco ju - jitsu, więc umie kontrolować mięśnie. Zrozumiał, że to nie są czcze przechwałki, gdy bez żadnego problemu przecisnęła się przez otwór. Najpierw włożyła głowę, a potem, wierząc się i kręcąc, zdołała wejść do środka. Teraz Watkins zdecydował, że nastąpi odpowiednia pora, aby tuszować jej ślady. Szybko zapukał bardzo głośno do drzwi prowadzących do piwnicy i kiedy pojawił się w nich podkuchenny, Watkins zapytał wesoło:

- Czy mogę wejść? Miło mi będzie znów państwa zobaczyć.

- Ależ oczywiście, Mein Herr! - zawołała kucharka z kuchni. - Ale proszę nie przeszkadzać mi w przygotowaniu kolacji, zwłaszcza że nie mam nikogo do pomocy oprócz Adolfa, który jest tak niezdarny, że rozbija wszystko, czego się dotknie.

- Pomogę pani - zaproponował Watkins i wziął się do pracy, mówiąc jednocześnie tak głośno, aby żaden hałas, który mogłaby spowodować Loelia, nie doszedł do uszu zgromadzonych. Jego opowiastki wywoływały wybuchy śmiechu i gdy stary kamerdyner zszedł na dół, dołączył do roześmianej kompanii. Watkinsowi udało się nawet pójść do jadalni, gdyż zaproponował, że wyręczy kamerdynera i zanieś następną tacę. Usłyszał jak lord Braydon mówi o jachcie, który zamierza zbudować księżę Walii, aby pobić „Meteora II”.

- Wiem, komandorze, że z pańską opinią genialnego człowieka mógłby pan wymyślić sposób w jaki Jego Wysokość mógłby pokonać swego bratanka.

- To jednak na pewno nie spodobałoby się cesarzowi - zaśmiał się komandor. - Jego wuj też nie był zadowolony, gdy przegrał dwa lata temu i gdy pokłócił się z bratankiem jeszcze przed zakończeniem regat w Cowes.

Obaj mężczyźni roześmiali się znowu, jakby z doskonałego dowcipu. Watkins, patrząc przez szparę w drzwiach, zauważył, że lord je każde danie tak wolno jak to tylko możliwe, starając się jak najbardziej przedłużyć kolację.

Watkins zszedł na dół, aby pomóc kucharce przy jabłeczniku i dużym dzbanie śmietany, która została do niego dodana.

- Nasi panowie - pani i mój, przytyją jeśli to wszystko zjedzą - powiedział Watkins.

Kucharka się roześmiała.

- Nasz pan niewiele jada, chyba że ma gości. W gruncie rzeczy zapomniałby o śniadaniu, obiedzie i kolacji, gdyby Friedrich mu nie przypomniał, że są na stole.

- Tak się dzieje, gdy ma się za dużo pracy - Watkins rozsiadł się wygodnie przy stole. - Moją podstawową zasadą, jest nie przemęczać się, jeśli nie muszę.

- Tak, to typowo brytyjskie. My, Niemcy, jesteśmy inni. Lubimy coś robić.

- I do czego was to prowadzi?

- Jeszcze będzie pan zaskoczony! - powiedziała złowieszczo kucharka. - Z tego co słyszałam, pewnego dnia będzie pan bardzo zaskoczony!

- No cóż, w tej chwili pani mnie zaskakuje tym wspaniałym daniem, które właśnie zniesiono na dół i dam pani całusa za trudy!

- Ach, niechże pan ucieka, zuchwały człowieku! - ostrzegła kucharka. - Wzbudzi pan tylko zazdrość Friedricha.

- A to da mu pole do popisu! - zażartował Watkins.

Loelia słyszała ich śmiech. Szła po omacku w ciemności. Pomieszczenie, w którym się znalazła było prawie pustą piwnicą, w której gdzieniegdzie tylko leżały beczki po piwie. Loelia otworzyła jakieś drzwi i przeszła do następnej piwnicy, wypełnionej kilkoma stojakami na wino. Znajdowało się tam jedynie parę butelek, chociaż zmieściłoby się więcej. Pomyślała, że może myliła się i że jej ojca wcale tam nie ma. Podeszła do kolejnych drzwi. Trudno jej było cokolwiek dojrzeć, gdyż światło i powietrze dochodziło jedynie z okratowanego otworu, podobnego do tego, przez który tu weszła. Wyczuła ręką, że na drzwiach jest ciężka zasuwka, a w zamku duży klucz. Cicho przesunęła zasuwkę i przekręciła klucz. Zawiasy zostały dobrze naoliwione, więc drzwi nie zrobiły żadnego hałasu. Po chwili o mało nie wydała okrzyku radości; za stołem pełnym papierów zobaczyła bowiem własnego ojca, skrywającego twarz w dłoniach.

Przez moment stała tylko i wpatrywała się w niego. Wreszcie ojciec, jakby coś mówiło mu, że nie jest sam, uniósł głowę. Dopiero teraz Loelia z przerażeniem zauważyła, jak bardzo jest wycieńczony.

## Rozdział 5

Thurston Standish milczał. Wstał tylko z krzesła i wyciągnął ramiona. Loelia rzuciła się w jego kierunku i po chwili mocno do niego przywarła. Miała mu tyle do powiedzenia, ale pamiętała, jak uczył ją, iż w takich sytuacjach najbezpieczniej jest zachować milczenie. Loelia przez dłuższą chwilę trwała w ramionach ojca, po czym chwyciła jego zimne dłonie i poprowadziła do wyjścia. Przez chwilę obserwowała korytarz, upewniając się, że nikogo tam nie ma i kiedy ojciec przekroczył próg pokoju, Loelia zamknęła drzwi i zostawiła klucz tam gdzie go znalazła. Skradając się niczym Indianka, poprowadziła ojca schodami, które wiodły do sutereny. Była to najniebezpieczniejsza część ich planu. Przecież jej ojciec nie mógł wydostać się na zewnątrz przez ten mały otwór, przez który ona weszła do środka. Watkins przedstawił jej plan pomieszczeń w suterenie.

- Jest tam - powiedział - długi korytarz, prowadzący od drzwi zewnętrznych, po jednej jego stronie znajduje się kuchnia.

Po drugiej zaś były spiżarnie i różne dodatkowe pomieszczenia gospodarcze. Watkins narysował nawet Loelii ten plan, żeby mieć absolutną pewność, że wszystko zrozumiała.

Loelia z łatwością dotarła do końca schodów. Słyszała śmiech dochodzący z kuchni i wiedziała, że to Watkins stara się zabawić służących, aby nikt nie usłyszał, jak będzie przechodziła; obok. Poruszając się bardzo szybko, dotarła do drzwi zewnętrznych i natychmiast je otworzyła. Ojciec dołączył do niej i po chwili oboje znajdowali się na zewnątrz. Loelia widziała, jak ojciec łapczywie wdycha świeże powietrze do płuc, czerpiąc z niego nowe siły. Bardzo cicho zamknęła drzwi i pospieszyli w górę kamiennymi schodami.

Poprowadziła ojca przez bramę wychodzącą na ulicę. Rozejrzała się dookoła, ale w pobliżu nie było nikogo oprócz dwóch strażników, którzy jednak nadal stali w nieruchomej pozycji, mocno trzymając karabiny.

Powóz czekał pod drzewami. Woźnica, zapewne zgodnie z instrukcjami Watkinsa, patrzył w przeciwnym kierunku. Loelia zwinnie przebiegła drogę, modląc się, aby ojciec mógł za nią nadążyć i otworzyła drzwi powozu. Po kilku sekundach ojciec do niej dołączył i gdy tylko usiadł, bezsilnie opadł na siedzenie. Lord Braydon przewidywał coś takiego. Loelia również była na to przygotowana. Z wielką wprawą ułożyła ojca wygodnie i szczelnie okryła go ciemnym kocem, tak aby nikt, kto by spojrzął do środka, nie mógł się domyślić, że jest tam jeszcze jeden człowiek. Potem wyciągnęła coś do picia. Lord Braydon przygotował niewielką ilość brandy z wodą.

- Jeżeli - protestowała Loelia - papa długo nic nie jadł, to nawet taka mała ilość alkoholu może sprawić, że się upije.

- Co ważniejsze, to pobudzi jego apetyt. - powiedział lord. - Kiedy ktoś nie je przez całe tygodnie, często potem ma trudności w przełykaniu i w ogóle nie ma łaknienia. .

Loelia wiedziała, że to co lord mówi jest sensowne. Jej ojciec rozumiał to chyba lepiej od niej i wypił trochę brandy, którą córka mu podała, przytykając kieliszek do jego ust. Po kilku łykach Loelia odstawiła kieliszek i otworzyła słoik z galaretką. Wiedziała bowiem nawet lepiej od lorda, że jest to najbardziej odżywczy produkt, jaki można uzyskać, często polecany inwalidom lub rekonwalescentom, którzy mają kłopoty z przełykaniem. Bardzo wolno podawała ojcu galaretkę łyżeczką i wydawało jej się, że jego twarz nabiera koloru. Mimo że miał zamknięte oczy, wiedziała, że cały czas jest czujny i świadomy niebezpieczeństwa. Kiedy słoiczek był prawie pusty, podała ojcu jeszcze trochę brandy i, otuliwszy go kocem, spojrzała wyczekująco na drogę.

Po kolacji zanesiono kawę do saloniku. Watkins spojrzął na duży zegar wiszący na ścianie w kuchni.

- Już po dziewiątej - zwrócił się do kamerdynera. - Lepiej będzie jeśli pójdzie pan na górę; i przypomni Jego Lordowskiej Mości, że za dziesięć minut ma spotkanie z Jej Wysokością Księżną Von Achern.

- Nie daje mu pan wiele czasu na dotarcie tam - zauważył kamerdyner.

- Więc tym bardziej Jego Lordowska Mość powinien się pospieszyć.

Friedrich wyszedł więc wolno z kuchni, a Watkins tymczasem pożegnał się z kucharką, całując ją w oba policzki i wywołując u niej chichot jak u młodej dziewczyny. Podkuchennemu dał suty napiwek, zyskując jego wdzięczność i, powiedziawszy wesoło do widzenia całemu personelowi, opuścił pomieszczenie. Idąc korytarzem miał nadzieję, że wszystko się udało. Teraz panienska Loelia wraz z ojcem powinni być już bezpieczni. Jeśli natomiast wbrew jej oczekiwaniom, nie znalazła tutaj ojca, Watkins wiedział, że nie okazałaby się taka niemądra, aby pozostawać dłużej w pobliżu, ale wróciłaby do powozu, jak pouczył ją lord Braydon.

Gdy dotarł po schodach do drzwi sutereny, zobaczył strażników ciągle stojących nieruchomo na warcie, trzymających puste już kubki, z których pili wcześniej wino, oczywiście z rozpuszczonymi w nim tabletkami. Watkins zabrał kubki, czego kompletnie nie zauważyli i podszedłszy do powozu, włożył je do koszyka. Jedno spojrzenie przez okno powozu wystarczyło, aby się zorientował, że wszystko poszło zgodnie z planem. Teraz czekał już tylko na lorda Braydona.

Braydon tymczasem niecierpliwie czekał na wiadomość od Watkinsa. Kiedy wreszcie kamerdyner ją przekazał, lord zwrócił się do komandora:

- Proszę mi wybaczyć, ale teraz zmuszony jestem pana opuścić. Wyjeżdżam z Berlina dziś w nocy i obiecałem pożegnać się przed wyjazdem z księżną Von Achern.

- Wyjeżdża pan dzisiaj, Mein Herr?

- Niestety tak. To rozkaz królewski i nie mogę go zignorować.

- Rozumiem.

- Czy mam oczekiwać od pana wiadomości w sprawie, o której dyskutowaliśmy? Będę niecierpliwie wyglądał listu tak samo jak i Jego Wysokość.

- Zajmę się tą sprawą - odparł komandor - ale, jak się pan domyśla, to może być trudne.

- Mam jednak nadzieję, że zdoła pan ominąć wszelkie przeszkody - odparł lord kierując się w stronę drzwi.

Friedrich podał gościowi pelerynę i otrzymał za to złotą monetę. Wychodząc na zewnątrz, lord powiedział:

- Widzę, że mój woźnica był na tyle rozsądny, aby stanąć pod drzewami. Dobranoc i raz jeszcze dziękuję za gościnność - uścisnęli sobie dłonie z komandorem, po czym lord pośpiesznie poszedł do powozu. Watkins otworzył drzwi i sam wyraz jego twarzy dał lordowi pewność, że wszystko poszło jak najlepiej.

Gdy tylko ruszyli, Loelia otworzyła klapę swej kryjówki, gdzie schowała się na wypadek, gdyby komandor zechciał odprowadzić gościa do powozu, i szepnęła:

- Udało się! Udało!

Braydon przycupnął na brzegu siedzenia, aby nie zmiażdżyć nóg Thurstona Standisha.

- Była pani bardzo dzielna! Jak czuje się pani ojciec?

- Jestem niezmiernie wdzięczny - wymamrotał Thurston Standish i ściągnął koc z twarzy, chociaż nadal pozostał w pozycji leżącej.

- Cieszę się, że pana widzę - powiedział lord Braydon.

Ojciec Loelii uśmiechnął się słabo i rzekł:

- Wiem kim pan jest, i prawdę powiedziawszy miałem nadzieję, że Loelia znajdzie właśnie kogoś takiego, aby mi pomóc.

- Więc wiedział pan, co córka zamierzała zrobić? - spytał lord.

- Tak, wiedziałem.

Loelia tymczasem klęknęła przy ojcu i powiedziała:

- Kocham cię, papo i tak bardzo się... bałam, że może być... za późno. Ale lord Braydon był... był wspaniały.

- Nie mówmy hop! - ostrzegł lord. - Kiedy Niemcy się zorientują, że więzień zniknął, zrobią wszystko, aby go schwytać ponownie.

- Może lepiej niech mi pan powie od razu o swoim planie - powiedział Thurston Standish.

- Oczywiście, ale najpierw proszę coś zjeść, bo widzę, że tam pana głodzili.

- O tym opowiem później.

Nie był w stanie nic więcej powiedzieć. Loelia otworzyła następny słoik galaretki i karmiła ojca powoli. Czują, że lord cały czas patrzy na niego z zatroskaną miną. Braydon obawiał się, że starszy człowiek nie będzie w stanie wykonać następnego punktu planu.

Kiedy dotarli już do domu, w którym mieścił się apartament, tylko Loelia i lord weszli frontowymi drzwiami, Watkins zajechał powozem od tyłu budynku.

W windzie Loelia spytała:

- Czy papa będzie w stanie zrobić wszystko czego pan po nim oczekuje? Wygląda na bardzo słabego i wycieńczonego.



- Myślę, że siła jego woli będzie tak wielka, że pomoże mu w pokonaniu następnej przeszkody - odparł lord Braydon - która przecież jest najważniejsza. Nie będzie nam łatwo wydostać się z Niemiec, kiedy już rozpoczną się poszukiwania.

- Zdaję sobie z tego... sprawę - mówiąc to Loelia zadrżała i bez chwili namysłu chwyciła lorda za rękę.

Ale teraz... teraz... nie możemy zawieść.

Ależ na pewno nie zawiedziemy - zapewnił ją lord, chociaż wiedziała, że mówi tak tylko, aby dodać jej odwagi i otuchy.

Kiedy Loelia dotarła do swojej sypialni, szybko przebrała się we wcześniej przygotowaną sukienkę, a strój, który miała na sobie, spakowała do walizki. Ledwie to zrobiła, usłyszała pukanie do drzwi. Był to, oczywiście, lord Braydon, również przebrany w strój podróżny, w którym wyglądał niezwykle przystojnie. Lokaj z kufrem lorda wszedł po bagaż Loelii.

Lord spojrział na zegarek i powiedział specjalnie przy lokaju:

Pospieszmy się. Muszę jeszcze pożegnać się z księżniczką, a nasz pociąg odjeżdża o jedenastej.

- Jestem gotowa - odparła Loelia.

Lokaj wszedł do windy przeznaczonej dla służby, a lord wraz z Loelia zjechali tą, której zwykle używali. Kiedy dotarli na dół, lokaj już czekał z bagażami, zaniósł walizki do powozu; umieścił je tam, gdzie przedtem znajdował się koszyk. Loelia zauważyła, że Watkins pozostał przy woźnicy, nie zajmując się kufkami. Lord Braydon dał lokajowi suty napiwek i wsiadł do powozu, w którym siedziała już Loelia, zasłaniając sobą leżącego ojca. Gdy tylko odjechali, lord spytał:

- Dobrze się pan czuje, panie Standish?

- Proszę się o mnie nie martwić - odparł ojciec Loelii. - Pański człowiek powiadomił mnie czego pan ode mnie oczekuje i na pewno zrobię wszystko, aby wyglądać jak stuprocentowy dżentelmen.

Lord się roześmiał.

- Czy Watkins dał panu coś dla zatuszowania bladości twarzy?

- Gdyby tego nie zrobił, sam bym o tym pomyślał - w jego głosie zabrzmiała nutka nagany za to, że lord może go podejrzewać o nieznamość sztuki ukrywania się.

- Jak pan może sobie wyobrazić - powiedział cicho lord - od tej chwili cała akcja będzie bardzo sprytna.

- Dobrze, że pan wymyślił odwiedzin u księżnej. Dzięki temu, kiedy Niemcy zaczną śledzić pańskie ruchy, pomyślą, że nie wstępowałyby pan do niej gdyby się spieszył, aby mnie wywieźć z kraju.

- Tak właśnie sądziłem. Ponadto zostawiłem, niby przypadkiem, w gabinecie na biurku liścik z ambasady brytyjskiej. Donoszą w nim, że z Londynu do ambasady nadeszła wiadomość, iż Jej Wysokość Królowa potrzebuje mnie natychmiast w kraju, gdyż Jego Wysokość Maharadża przybył z Indii wcześniej niż się spodziewano.

Thurston Standish powiedział ze śmiechem:

- Zawsze słyszałem o pańskiej inteligencji, Braydon! Nie ma nic lepszego w tym kraju niż zagranie „kartą królewską”, jeśli się takową posiada.

- Dokładnie o tym samym pomyślałem - przytaknął lord. - Kiedy już to wszystko się skończy, powiem panu jak bardzo go podziwiam i zawsze podziwiałem.

- Mam nadzieję, że teraz się nie skompromituję - odparł Thurston Standish i położył się znowu, naciągając ciemny koc.

Przed pałacym księżnej Watkins otworzył swemu panu drzwi powozu.

Lord wysiadając zwrócił się po angielsku do Loelii:

- Zaraz wracam, moja droga.

Po czym, po niemiecku, rozkazał woźnicy: - Proszę tutaj poczekać! To potrwa tylko kilka minut!

Kiedy wszedł do domu, lokaj zamknął drzwi powozu. Siedząca przy ojcu Loelia, spytała:

- Czy czujesz się lepiej, papo?

- Cały czas jadłem kiedy Watkins mnie ubierał i dawał instrukcje.

- Jestem pewna, że zrobił to doskonale i ja już nic nie muszę dodawać - mówiła szeptem, wiedząc, że lokaj, który stał teraz przy oświetlonym wejściu do domu, myślał, że jest sama.

- Jestem z ciebie dumny, kochanie - rzekł Thurston Standish - ale nie powinnaś była narażać się na tak wielkie niebezpieczeństwo, jak samotny przyjazd do Berlina.

- Później ci wszystko opowiem - powiedziała pośpiesznie Loelia. Wiedziała, jak ojciec by się gniewał, gdyby powiedziała mu dokładnie, co naprawdę się zdarzyło. Na razie chciała, aby myślał wyłącznie o planie ucieczki nakreślonym przez lorda Braydona.

W pałacyku natomiast, księżna, wyglądająca jeszcze bardziej pociągająco niż zazwyczaj, na widok lorda w ubraniu podróżnym wykrzyknęła:

- Chyba pan nie wyjeżdża?

Lord już wcześniej wysłał jej liścik, w którym wyjaśniał, że z powodu wcześniej umówionego spotkania nie będzie mógł zjeść z nią kolacji. Obiecał jednakże przyjść po przyjęciu i wiedział, że księżna przyjmie to jako zapowiedź małego tete - a - tete, na które miała niezmierną ochotę.

Trzymając ją za rękę nieco dłużej niż to było konieczne, lord powiedział:

- Nie potrafię wyrazić jak bardzo mi przykro, ale tuż przed kolacją dostałem wiadomość z ambasady, nakazującą mi natychmiastowy powrót do Londynu na polecenie Jej Wysokości, gdyż mam się zająć Maharadzą, który przyjeżdża z Indii.

Księżna wyduła wargi i jej usta wydawały się teraz szczególnie kuszące.

- Jak to możliwe, że los jest dla nas taki niełaskawy? - spytała cicho.

- A jak pani myśli, co ja czuję - i mocniej zaciskając palce na jej dłoni, powiedział: - Zdarzy się nam jeszcze niejedna okazja, i wie pani o kim będę myślał dzisiejszej nocy, w pociągu?

Brzmiało to tak szczerze, że księżna rzekła z westchnieniem:

- A więc jest to tylko au revoir, a nie pożegnanie.

- Tak jest zawsze w naszym przypadku - powiedział lord i ucałował jej dłoń.

Nie sposób było mówić dalej. Wiedział bowiem, że przebywający w sąsiednim pokoju goście księżnej starali się zachowywać naturalnie i rozmawiać między sobą, ale w rzeczywistości rzucali ciekawe spojrzenia w ich kierunku.

- Wygląda pani piękniej niż zwykle - powiedział lord i ponownie pocałował dłoń księżnej. Następnie wyszedł i wsiadł do powozu.

Gdy nieco odjechali Loelia zapytała z ciekawością:

- Czy księżna jest piękna?

- Bardzo - odparł oschle. I nie powiedział nic więcej.

Loelia powiedziała sobie, że lord jest widocznie rozczarowany, a może nawet zły, że nie może spędzić wieczoru tak jak zaplanował. „Pewnie uważa” - pomyślała -

„że ja i papa jesteśmy mu zawadą; wolałby mnie pewnie nigdy nie spotkać, ucieszy się, gdy już dotrzemy do Anglii i nie będzie musiał mnie więcej widzieć". Uświadomiła sobie, że ta myśl ją zmartwiła, chociaż nie bardzo wiedziała dlaczego. Spoglądała na lorda w świetle mijanych latarni. Nie wyobrażała sobie nikogo przystojniejszego, bardziej eleganckiego czy inteligentniejszego od niego. Wiedziała, że nawet gdyby miała go już nigdy nie spotkać, zawsze pozostanie on w jej pamięci.

Nagle, zanim dotarli na stację, konie się zatrzymały. Przez moment Loelia myślała, że coś się stało. A gdyby policja chciała sprawdzić kto jedzie z lordem? Ale po chwili przypomniała sobie cały plan. W tym właśnie miejscu Watkins miał ich opuścić. I rzeczywiście, gdy tylko zszedł z siedzenia obok woźnicy, konie ruszyły. Loelia rzuciła na niego przelotne spojrzenie. Wyglądał zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Na głowie miał zwykłą czapkę zamiast eleganckiego melonika, a pod nieprzemakalnym płaszczem, który właśnie zdjął, ubrany był w garnitur w kratkę i żółty krawat. W ręku trzymał torbę podróżną.

- Czy da sobie radę? - spytała zaniepokojona Loelia.

- Jediną osobą, o którą nigdy się nie martwię, jest Watkins - odparł lord. - Uwielbia przygody i jeśli nawet jakaś okaże się niebezpieczna, na końcu zawsze wychodzi z niej z uśmiechem.

I kiedy to powiedział zwrócił się do leżącego pasażera:

- Myślę, panie Standish, że powinien pan teraz usiąść na małym siedzeniu i odegrać swoją rolę.

- Oczywiście - odparł Thurston Standish z nutką radości w głosie. - Czekałem jedynie na sygnał - podniósł się powoli, z pewną trudnością przemieszczając się w powozie. Loelia tymczasem usiadła obok swego opiekuna i gdy spojrzała na ojca, zachciało jej się śmiać. Wiedziała, że był to pomysł

lorda, aby ojciec przejął rolę Watkina jako jego lokaja. I chociaż już wcześniej widywała papę w różnych przebraniach, nigdy nie przypuszczała, że będzie wyglądał jak prawdziwy lokaj. Wszystko doskonale pasowało: biały kołnierz i czarny krawat, a także garnitur Watkina, nieco na niego za duży, a na ojca w sam raz. Był to, o czym Loelia wiedziała, ogólnie przyjęty uniform lokaja. Ojciec zrobił przedziałek na środku głowy, a jego twarz była lekko przypudrowana, aby ukryć bladość.

Standish przybrał minę służącego, który tylko czeka na rozkazy i chce wszystkich zadowolić.

Na siedzeniu obok trzymał melonik Watkina i założył go, gdy tylko dotarli na stację. Loelia teraz już na pewno roześmiałaby się głośno, gdyby nie była śmiertelnie przestraszona ucieczką.

Na stacji czekał na nich - jak to zaaranżował wcześniej lord - kurier z ambasady, który zaprowadził ich do wagonu sypialnego i wręczył im bilety. Był to człowiek nieco nadęty. Kompletnie lekceważąc „lokaja” lorda, sprowadził tragarza, który czekał już na stacji.

- Obawiam się - rzekł Braydon - że dałem panu zbyt mało czasu na poczynienie wszystkich przygotowań.

- Na szczęście, Wasza Lordowska Mość, było jeszcze kilka wolnych miejsc w pociągu i zarezerwowałem trzy przedziały w środku wagonu sypialnego, aby nie jechali państwo nad kołami. Udało mi się również załatwić w sąsiednich przedziałach miejsca dla pańskiej wychowanki i lokaja.

- Dziękuję - odparł lord i wszyscy ruszyli na peron. Kurier szedł obok lorda i Loelii, a „lokaj” podążał z tyłu.

Tragarz przyniósł bagaże i kiedy wszyscy byli już w pociągu, lord podziękował kurierowi za pomoc i dodał, że nie ma potrzeby, by dłużej czekał:

- Jestem pewien, że ma pan dużo pracy w ambasadzie i mogę tylko przeprosić, że zabrałem mu tak dużo cennego czasu.

- To dla mnie przyjemność, Wasza Lordowska Mość.

Lord i Loelia pożegnali się z nim i po chwili ujrzeni na peronie człowieka idącego w kierunku wagonów drugiej klasy. Loelia nigdy by nie rozpoznała Watkinsa, gdyby nie to, że przez cały czas go wypatrywała. Watkins miał być amerykańskim turystą o nazwisku Kirk Webber, o czym świadczyły zdobyte jakimś cudem dokumenty.

- Masz mówić, że przybyłeś, aby zobaczyć ziemię ojców - tłumaczył mu lord Braydon. - I nie szczędź szczegółów nikomu, kto będzie chciał cię słuchać.

Watkins wydał się Loelii wspaniałym aktorem i nawet najbardziej bystry Niemiec nie domyśliłby się, że jest on w rzeczywistości jedynie zwykłym lokajem.

Podczas całej rozmowy z kurierem dziewczyna katem oka obserwowała, jak jej ojciec rozpakowuje rzeczy lorda. Gdyby ktokolwiek spojrział przez okno, zobaczyłby służącego wykonującego swe normalne obowiązki.

Idąc do swego przedziału Loelia modliła się gorąco, aby nikt ich nie zatrzymał i aby jakimś cudem komandor jeszcze ciągle nie wiedział o ucieczce swego więźnia. Upłynęły wieki - jak się Loelii zdawało - zanim konduktor zagwizdał i pomachał czerwoną chorągiewką, dając sygnał do odjazdu. Koła zaczęły się powoli toczyć po szynach i Loelia przeszła do przedziału lorda Braydona, gdzie był też jej ojciec. Kiedy pociąg minął stację, wszyscy troje usiedli na łóżku i odetchnęli z ulgą. Loelia w przyływie radości objęła ojca i pocałowała go.

- Zrobiliśmy to! Udało się! Och, papo... udało się! Powiedz mi, czy się dobrze czujesz? Tak bardzo się bałam, że nie zdążę cię uratować!

- Czuję się dobrze, kochanie, ale jeśli lord Braydon wybaczy, chciałbym się położyć i odpocząć.

- Tak, oczywiście - odparła Loelia.

- Mam dla pana coś do jedzenia i myślę, że wszystkim nam dobrze zrobi kieliszek szampana. Proponuję, aby pan poszedł do swego przedziału, a ja zawołam stewarda - lord się uśmiechnął i dodał: - Oczywiście dam mu dobry napiwek, aby w razie, gdyby wynikły jakieś problemy na granicy, zaświadczył za nas.

Thurston Standish roześmiał się cicho i bez słowa poszedł do swego przedziału, który bezpośrednio sąsiadował z przedziałem Loelii. Loelia również wstała i wyszła za nim, mówiąc:

- Pomogę ci, papo.

Ale ojciec pokręcił przecząco głową.

- To byłby błąd, jestem przecież służącym Jego Lordowskiej Mości i musisz o tym pamiętać dopóki nie znajdziemy się poza granicami tego kraju.

Loelia przyznała mu rację, więc tylko go ucałowała i poszła do własnego przedziału, aby poczekać na lorda Braydona. Wkrótce przyniósł jej kieliszek szampana. Kiedy nie było nikogo w pobliżu, lord wziął drugi kieliszek i zaniósł go wraz z małymi kanapkami do przedziału Thurstona Standisha. Loelia wiedziała, że gdyby steward to zobaczył, wydałoby mu się bardzo dziwne. Po powrocie lord powiedział:

- Pani ojciec jest już w łóżku i mówi, że czuje się znacznie lepiej niż się spodziewał.

- Czy mówił panu coś jeszcze?

Lord zawahał się jakby rozważając, czy powinien odpowiedzieć na to pytanie zgodnie z prawdą,



- Pani ojca na początku torturowano, ale potem udało mu się ich przekonać, że tylko przy dobrym stanie umysłu będzie mógł odpowiadać na ich pytania.

- Czego od niego żądali?

- Jak pani wie, nie miałem jeszcze okazji, aby porozmawiać na ten temat z pani ojcem i myślę, że powinniśmy z tym poczekać do czasu, gdy znajdziemy się na neutralnym terytorium.

Loelia była z tego zadowolona. Kiedy sączyła szampana, lord Braydon usiadł obok niej i powiedział:

- Przypuszczam, że pani wie, że była absolutnie wspaniała. Nigdy nie wierzyłem, aby jakakolwiek kobieta potrafiła się tak zachować, była zdolna do podobnego wyczynu i dzielności.

Sposób, w jaki mówił, sprawił, że Loelia oblała się rumieńcem i czuła się zbyt zawstydzona, aby spojrzeć mu w oczy.

- Jest pani bardzo piękna, Loelio - ciągnął lord Braydon. - Myślę, że powinna pani raczej obracać się w wielkim świecie zamiast spędzać, życie na rozwiązywaniu międzynarodowych intryg.

- Wie pan przecież co myślę o... wielkim świecie!

- O którym najwyraźniej wie pani bardzo niewiele - odparł lord. - I kiedy powiem pani ojcu o kłamstwach, jakie wcisnąłem baronowi von Krozingenowi, będziemy musieli je urzeczywistnić. Poproszę kogoś z krewnych, może moją prababkę, księżnę Exmouth, aby wprowadziła panią na salony.

- O nie, nie! - krzyknęła Loelia. - To mnie zupełnie nie interesuje. Wolałabym raczej brać udział w przygodach, podobnych do tej, chociaż są one przerażające. Razem z papą i... z panem.

Między dwoma ostatnimi wyrazami nastąpiła znaczna przerwa i lord zapytał z ciekawością:

- Czy naprawdę dobrze się pani przy mnie czuła?  
- Oczywiście, że tak! - odparła Loelia zupełnie bez żenady. - Nie przypuszczałam, że istnieją na świecie mężczyźni tacy jak pan.

- Co pani ma na myśli?

- Jest pan... bogaty... ważny... ma kilka domów, koni i wielu znaczących przyjaciół. Dlaczego więc włączył się pan w sprawę, która intryguje i ekscytuje mojego papę ?

- Chyba z tych samych powodów, które pani przed chwilą wymieniła - ta sprawa jest intrygująca i ekscytująca również dla mnie!

- Ale... my nie jesteśmy bogaci, więc papa nie ma zbyt wiele w życiu, podczas gdy pan... pan może mieć wszystko co zechce.

- Może zabrzmiało to zachłannie - odparł lord Braydon - ale ja chcę czegoś więcej od życia oprócz luksusu i zabawy. Być może gdybym miał żonę i rodzinę, byłoby inaczej; może mi pani nie uwierzyć, ale często jestem znudzony przesytem!

Loelia się roześmiała.

- Czy naprawdę tak się pan czuje? Zawsze się zastanawiałam, czy to możliwe, aby ktoś miał za dużo pieniędzy i luksusu.

- Mogę panią zapewnić, że łatwo dojść do wniosku, iż zażyłość rodzi pogardę.

- Nie może pan tak myśleć. Jestem pewna, że nie odkrył pan jeszcze wielu rzeczy, które mógłby pan robić mając swoją pozycję.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Co pani sugeruje?

- Jest pan członkiem Izby Lordów, a nasz kraj potrzebuje tak wielu reform; jest tyle niesprawiedliwości, o której należy wreszcie zacząć głośno mówić i w ten sposób starać się ją wyeliminować.

Lorda zdumiały jej słowa. Spojrzał na dziewczynę: właśnie zdjęła kapelusz i jej jasne włosy rozsypały się na ramionach. Jej skóra była półprzezroczysta na tle sukni, którą zakupił Watkins. Braydon zdawał sobie sprawę, że Loelia jest piękna, chociaż inaczej niż wszystkie znane mu kobiety. Otaczała ją jakaś przedziwna aura, będąca mieszaniną młodości, czystości i duchowości. Nie miała ponadto w sobie niczego z egoizmu, a jej poświęcenie dla ojca było czymś szczególnie wzruszającym.

Nagle przyszła lordowi pewna myśl do głowy i zapytał:

- Co zamierza pani robić po powrocie do Anglii?
- Papa i ja wrócimy do domu.
- Chyba orientuje się pani, że nie mam pojęcia, gdzie to może być.

Uśmiechnęła się do niego.

- Na północ od Londynu, w Hertfordshire. Mieszkamy w małej posiadłości z kilkoma akrami ziemi, na której trzymamy parę koni, ale to wszystko. Muszę się bardzo starać, aby utrzymać sprawy papy w należyтым porządku. Mówi przecież kilkoma językami, rozumie zawiłości polityki światowej i ma tyle do zaoferowania innym ludziom - spojrzała na lorda, aby sprawdzić, czy jest zainteresowany i mówiła dalej: - Gdy mama żyła, wszystko działało się inaczej. Byli ze sobą bardzo szczęśliwi i nic więcej nie miało dla nich znaczenia. Chociaż staram się mamę zastąpić, dla papy już nigdy życie bez niej nie będzie takie samo.

- Mogę zrozumieć uczucia pani ojca - powiedział lord zmienionym głosem - ale martwię się o panią.

- Dam sobie radę.
- I będzie pani mieszkać sama podczas wojaży ojca po świecie?

- Mam naprawdę dużo do zrobienia w domu.

- Gdzie nikt pani za to nie podziwia? Loelia uśmiechnęła się,

- Konie mnie kochają. Przychodzą do mnie, gdy je wołam i jestem taka szczęśliwa, gdy mogę na nich pojeździć.

- Chciałbym pokazać pani moje konie. Oczywiście Loelii rozbłyły.

- Tak bardzo chciałabym je zobaczyć! Wierzę, że pańskie stajnie w Bray Park należą do najlepszych w całej Anglii!

- Kto pani o tym powiedział?

- Chyba przeczytałam w którymś z magazynów ilustrowanych. Było tam też zdjęcie pańskiego domu, jest naprawdę duży!

- To prawda, bardzo duży - zgodził się lord - i tak jak pani ojciec, często czuję się samotny i to jest jednocześnie odpowiedź na pani pytanie dlaczego robię to, co robię w tej chwili.

- Ale... to niebezpieczne! - szepnęła Loelia.

- Jeśli będę jeszcze kiedyś w przyszłości w niebezpieczeństwie, pomyślę o pani, spróbuję połączyć się myślami, i poprosić o pomoc.

Chciał się z nią trochę podroczyć, ale spojrzała na niego z dziwnym wyrazem oczu i powiedziała cicho:

- Bardzo chciałabym to zrobić.

## Rozdział 6

Loelia długo nie mogła zasnąć. Myślała o wszystkim, co się wydarzyło. Stukot kół zdawał się mówić „Twój ojciec jest wolny!”, ale w głębi jej duszy czaił się strach przed tym, co może się zdarzyć na granicy. Lord Braydon, oczywiście, wcześniej udzielił im instrukcji;

- Nie powinniśmy być ubrani, gdyż to mogłoby wskazywać, że oczekiwaliśmy przesłuchania.

- A czy myśli pan, że możemy się go spodziewać? - spytała Loelia drżącym głosem.

- Jestem pewien, że Edersnier już wie o ucieczce więźnia. Na pewno zawiadomi służby specjalne i wszystkich, którzy są z tą sprawą związani - widząc, że Loelia wyraźnie zbladła, powiedział innym tonem: - Nie wierzę jednak, że Bóg lub przeznaczenie pozwoliły nam zdobyć tak wiele tylko po to, abyśmy to teraz stracili.

- Ma... pan rację - w oczach dziewczyny znowu pojawił się promyk nadziei.

Leżąc w swoim przedziale musiała przysnąć, jako że obudził ją nagle odgłos hamulców. Pociąg gwałtownie się zatrzymał. Dotarli do granicy.

Lord Braydon wbrew temu co powiedział Loelii, był bardzo zdenerwowany.

Teraz leżał zrelaksowany na łóżku. Nagle usłyszał ostre pukanie do drzwi. Zignorował je, ale po chwili się powtórzyło i jakiś człowiek powiedział:

- Proszę otworzyć, Mein Herr!

Mruczając pod nosem, tak by ci, którzy stali na zewnątrz go słyszeli, lord Braydon zwlekł się z łóżka. Przekreślił klucz w zamku i uchylił nieco drzwi, pytając:

- O co chodzi?

- Dokumenty proszę, Mein Herr.

- Na litość boską - wykrzyknął lord po angielsku - dlaczego musicie to robić akurat o tej porze?

Nie zamknął jednak przedziału, tylko podszedł do płaszcza i wyjąwszy z niego czarną saszetkę, rzucił ją na łóżko.

- Proszę! - powiedział. - Znajdzie pan tu również dokumenty mojej wychowanki, która śpi tuż obok i mojego lokaja, który znajduje się nieco dalej. Nie będzie pan ich musiał już niepokoić.

Urzędnik, jak się okazało, wyższy oficer, spojrzał ostro na lorda, który ziewając głośno, wrócił do łóżka i położywszy się wygodnie na poduszce, zamknął oczy.

Oficer bardzo powoli i dokładnie przejrzał paszporty, a potem powiedział:

- Mam informacje, Mein Herr, że wczorajszej nocy był pan gościem komandora Edersniera.

Lord Braydon otworzył oczy i dopiero po chwili, jakby zbierając myśli, powiedział:

- Edersnier! A tak, rzeczywiście, byłem u niego na kolacji - i nagle zeszywniał. - A co to ma wspólnego z panem? - spytał ostro. - Moja wizyta u komandora miała charakter ściśle osobisty i jest to sprawa wyłącznie moja, niczyja więcej.

W taki sam sposób zwracaliby się do oficera jego przełożeni, dlatego wojskowy, niemalże przepraszająco wyjaśnił:

- Muszę panu zadać trzy pytania, Mein Herr, ponieważ zostałem poinformowany, że zbiegł więzień, którym zajmował się komandor.

- Więzień? Co ma pan na myśli mówiąc więzień? - spytał lord Braydon. - Komandor i ja jedliśmy sami w jego prywatnym domu, a jeśli trzyma jakichś więźniów w innej części miasta, nic mi o tym nie wiadomo.

Słowa lorda najwyraźniej były przekonujące i oficer dopiero po chwili zapytał:

- Zostałem poinstruowany, Mein Herr, aby spytać pana, czy nie zechciałby pomóc policji Marynarki Wojennej w poszukiwaniach.

- To niemożliwe! Proszę poinformować policję, że wracam do Anglii na oficjalne wezwanie Jej Królewskiej Wysokości, która potrzebuje mnie natychmiast w pałacu Buckingham - ton lorda stał się teraz ostrzejszy. - Dlatego wykluczone jest abym opóźnił swą podróż nawet o kilka godzin.

Oficer wyglądał na niezdecydowanego i lord był pewien, że nie ma on wystarczających kompetencji, aby egzekwować prawo w stosunku do swego rozmówcy.

- Nie mam nic więcej do dodania - powiedział lord Braydon wyniosłym, wręcz druzgocącym tonem, tak innym od tego jakim zwracał się do ludzi na co dzień. - Proszę powiedzieć swoim przełożonym, że mogą skontaktować się ze mną w każdej chwili przez niemieckiego ambasadora w Londynie. Zna on mój adres i jest moim dobrym znajomym. W tym momencie nie mam czasu na szukanie czy rozmawianie o więźniach, o których i tak nic nie wiem. Proszę mnie dobrze zrozumieć - nie wiem o czym pan mówi, a moje spotkanie z komandorem miało związek wyłącznie z jachtem regatowym.

Oficer nie miał innego wyjścia jak odłożyć paszporty i wyjść. Przedtem jednak powiedział, skłoniwszy się nieco w kierunku lorda:

- Rozumiem, Mein Herr, i proszę wybaczyć mi to najście, ale wykonuję tylko rozkazy.

- Tak, tak - odparł lord. - Proszę zatrzasać drzwi. Nie mam ochoty wstawać z łóżka, aby je zamknąć na klucz.

Lord ziewnął przekonująco udając zmęczonego i oficer wyszedł. Przez chwilę słychać było jak naradza się z pozostałymi dwoma urzędnikami i stewardem czy obudzić Loelię. Według paszportu nosiła ona nazwisko panna Johnson. Lord nie słyszał zbyt dobrze ich rozmowy, ale steward najwyraźniej przekonywał pozostałych, że nie ma nic podejrzanego, jeśli chodzi o tych troje ludzi, którzy wsiedli do pociągu w Berlinie. Widocznie steward przekonywał ich skutecznie, bo w końcu oficerowie poszli dalej.

Pociąg jeszcze długo stał na granicy. Lord Braydon nie wychodził jednak z przedziału, chociaż wiedział, że zarówno Loelia jak i jej ojciec są niespokojni o to co się dzieje. Lord wiedział, że oficerowie są bardzo podejrzliwi i z pewnością czekają na jakieś konkretne instrukcje od kierujących akcją.

W końcu pociąg ruszył, ale dopiero kiedy osiągnął normalną prędkość, lord odetchnął z ulgą. Poczul, że musi porozmawiać z Loelią, aby ją uspokoić. Założył więc długi jedwabny płaszcz, który wcześniej przygotował mu Thurston Standish. Lord wiedział, że czeka ich jeszcze granica holenderska, ale tak jak przypuszczał, była to tylko formalność i nikt już nie niepokoił podróżnych.

Dopiero po przejechaniu tej granicy lord wyszedł z przedziału i zapukał do drzwi Loelii.

- Kto tam? - spytała drżącym głosem.

- Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku - odparł lord i usłyszał jak Loelia uchyla drzwi.

Miała na sobie tylko koszulę nocną. Jej ciemne ze strachu oczy zdawały się wypełniać całą twarz. Lord się uśmiechnął;

- Przyszedłem pani powiedzieć, że jesteśmy już wolni i wszystkie strachy są za nami - starał się ją rozśmieszyć. Ale ona spytała niczym dziecko, które przeraziło się czegoś w ciemności:



- Czy jest... pan całkowicie... pewien? Słyszałam, jak ktoś z panem rozmawiał bardzo długo... byłam naprawdę przerażona.

- Nie wątpię - i dodał: - Czy mogę wejść na chwilę? Nie chciałbym przeszkadzać pani ojcu, który, mam nadzieję, mocno śpi, a myślę, że powinniśmy zaplanować, co zrobimy, kiedy dojedziemy do Ostendy.

Loelia nie odpowiedziała, tylko wycofała się w głąb przedziału i wróciła do łóżka. Lord Braydon wszedł i usiadł nie opodal! Zobaczył, że Loelia nadal się boi, więc powiedział:

- Naprawdę wszystko jest już w porządku i myślę, że ich przekonałem, iż żadne z nas nie wie nic o zbiegłym więźniu.

Loelia odetchnęła głęboko i odparła:

- Może nie powinnam się aż tak bać, ale... martwiłam się nie tylko o papę ale... i o pana.

W końcu został pan niejako w to wszystko wciągnięty i cała ta sprawa nie powinna się w ogóle wydarzyć.

- Myślę, że beze mnie byłoby pani trudniej odzyskać ojca - zauważył lord.

- Nie to miałam na myśli. Był pan wspaniały... nikt nie mógłby panu dorównać - zawahała się i powiedziała miękkiem głosem: - Ale jeśli wpadłby pan w tarapaty, ani ja, ani papa nigdy byśmy sobie tego nie wybaczyli.

Sposób w jaki to powiedziała świadczył, jak wiele jego pomoc dla niej znaczyła. Po chwili lord Braydon znów się odezwał:

- Chcę, aby pani zapomniała o wszystkim, co się stało i aby przyszłość przyniosła pani radość.

- Jestem do tego przygotowana, ale nie mam ochoty na to, co pan przedtem sugerował - spojrzała na niego nerwowo. - Muszę się opiekować papą, a ponadto, jak już mówiłam, nie nadaję się do wielkiego świata.

- Rozumiem pani uczucia, ale nadal uważam, że traci pani ograniczając się tylko do swego małego domku z kilkoma akrami ziemi.

- Teraz używa pan przeciwko mnie moich własnych słów - zarzuciła mu Loelia.

- Jeśli chce pani abym poszerzył swe horyzonty, myślę, że powinniśmy coś zrobić, aby pani poszerzyła swoje.

Loelia westchnęła:

- Myślę, że prawda jest taka; ze mną ani do tańca, ani do rózańca - jak mawiała moja niania. Innymi słowy do niczego się nie nadaję.

- Jest pani zbyt skromna, ale o tym porozmawiamy innym razem. Teraz idę spać i radzę, aby zrobiła pani to samo - uśmiechnął się i wstał.

Zanim jednak wyszedł, obrócił się jeszcze i powiedział:

- Proszę pamiętać, że dokonaliśmy czegoś, co nie udałoby się innym, mniej sprytnym ludziom - uśmiechnął się jeszcze raz i wyszedł z przedziału.

Braydon nawet nie próbował wstać z łóżka dopóki nie przyszedł steward, aby poinformować, że śniadanie jest już podawane w wagonie restauracyjnym i że za godzinę dojadą do Antwerpii. Lord nie miał jednak zamiaru iść do wagonu restauracyjnego, obawiał się bowiem, że mógłby spotkać kogoś znajomego, a wtedy musiałby wyjaśniać dlaczego Loelia z nim podróżuje. Wiedział co większość ludzi pomyślałaby na widok młodej dziewczyny podróżującej bez opieki z takim mężczyzną jak on, chociaż dla niego samego w fakcie tym nie było niczego zdrożnego. Zamówił więc śniadanie dla siebie i dla Loelii do przedziału i był pewien, że Thurston Standish sam sobie poradzi.

Przed dojazdem do Antwerpii ojciec Loelii pojawił się w przedziale lorda. Nadal ubrany jak lokaj, wyglądał już

znacznie lepiej niż poprzedniego dnia. Ostrożnie zamknął drzwi i rzekł:

- Jako pański służący bardzo przepraszam, że przespałem granicę.

Lord Braydon uśmiechnął się.

- Myślałem raczej, że będzie pan leżał i zastanawiał się, co się dzieje. Muszę przyznać, że sam bardzo się zdenerwowałem - i szczegółowo opowiedział Thurstonowi Standishowi o tym co wydarzyło się w nocy. - Myślę, że teraz niebezpieczeństwo mamy już poza sobą, ale ze względu na stewarda musimy zachowywać się tak, jak tego od nas oczekuje, by nie wzbudzić jego podejrzeń. Dopiero na moim jachcie, który mam nadzieję, czeka na nas w porcie, będziemy mogli się zrelaksować.

Thurston Standish zgadzał się z nim całkowicie, zaczął więc pakować rzeczy lorda. Gdy skończył, zapukał do przedziału Loelii, która z miny ojca wywnioskowała, że nadal mają zachowywać się bez zmian i dlatego wyszła z lordem Braydonem na peron, jako że pociąg dotarł już na stację. Thurston Standish miał znaleźć bagażowego i podążyć za lordem i Loelia, którzy skierowali się do portu. Czekał tam już na nich jacht lorda Braydona, z białą, powiewającą na wietrze flagą, przycumowany przy innym nabrzeżu niż parowa flota Kanału. Jacht był tak „angielski”, że Loelia chciała pobiec w jego kierunku, aby nareszcie na jego pokładzie poczuć się bezpiecznie.

Thurston Standish zapłacił bagażowemu i wszedł na pokład, schodząc schodkami na dół. Loelia natychmiast pobiegła za ojcem. Instynktownie wyczuła, że kabina na samym końcu należy do lorda, a dwie pozostałe, które do niej przylegały, będą dla niej i dla ojca. Weszła do tej po lewej stronie i zobaczyła ojca leżącego na łóżku z ręką przyciśniętą do boku. Ku swojemu przerażeniu zauważyła krew.

- Papo, papo! - wykrzyknęła - Co się stało?

- Mieli jakieś podejrzenia co do mojej osoby - wyszeptał z wysiłkiem - i gdy opuszczałem stację, ktoś dźgnął mnie nożem. Loelia wydała okrzyk przerażenia i natychmiast wybiegła, aby sprowadzić pomoc. Zobaczyła, że korytarzem zbliża się Watkins. Był bez czapki, ale płaszcz przeciwdeszczowy zakrywał jego jaskrawe ubranie.

- Ktoś pchnął papę nożem! Od tej chwili Watkins wszystkim się zajął.

Zdjął płaszcz i marynarkę. Wysłał Loelię po kapitana, który znał się na ranach, a sam starał się zatamować krew.

Jak to później określiła Loelia, wszystko, co nastąpiło potem, przypominało powrót do koszmaru. Wyruszyli natychmiast lecz zamiast na pełne morze, popłynęli wzdłuż wybrzeża do Calais, skąd była najkrótsza droga do Anglii.

- Jeśli pani ojciec będzie potrzebował lekarza, chociaż Watkins twierdzi, że to na razie niepotrzebne - powiedział lord do Loelii - zatrzymamy się w jakimś porcie. Ponadto nie powinien być narażony na działanie fal morskich bardziej niż to okaże się konieczne.

Mówił spokojnie, ale Loelia nie była na tyle głupia, aby nie wiedzieć, że duża utrata krwi w przypadku jej ojca mogłaby być fatalna w skutkach. Kiedy Watkins wrócił, aby opiekować się pacjentem, dziewczyna przeszła do saloniku, gdzie po chwili dołączył do niej lord. Chociaż nie płakała, wiedział aż za dobrze, co czuje. Usiadł koło niej i, obejmując ją, powiedział:

- Mogło być znacznie gorzej. Gdyby to się stało jeszcze na terenie Niemiec, żadne z nas nie miałyby szansy ucieczki.

- Czy myśli pan, że... że to zabije papę? - szepnęła Loelia.

- Zarówno Watkins jak i kapitan uważają, że pani ojciec miał niesamowite szczęście. Nóż nie przebił żadnej tętnicy, a więc rana nie jest taka groźna - jego głos brzmiał

przekonująco, ale kiedy Loelia spojrzała na niego, aby upewnić się, że mówi jej prawdę, zobaczyła łyżę na jej policzkach. - Wszystko dobrze się skończy. Obiecuję pani, że Watkins uratuje pani ojca tak samo jak mnie ratował w przeszłości. Jest wspaniałą pielęgniarką i myślę, że był nią w swym poprzednim wcieleniu.

Poczuł jak Loelia drży, więc dodał:

- Cały czas była pani taka dzielna i dlatego nie pozwolimy Niemcom zwyciężyć w ostatnim momencie.

- Papa... to wszystko... co mam - powiedziała cicho Loelia  
- W moim życiu nie ma... nie ma... nikogo oprócz... papy.

Mówiąc to czuła się jakby stała zupełnie sama w wielkiej próżni. Potem nagle uświadomiła sobie jak dużo pocieszenia daje jej lord Braydon, jaką siłę czerpie z jego pomocnego ramienia. Cały czas obejmował ją i trzymał ręce na jej dłoniach. I właśnie w tym momencie zdała sobie sprawę jak bardzo będzie tęsknić za lordem, kiedy przyjdzie im się już rozstać. Będzie za nim tak samo tęsknić jak tęskniłaby za papą.

- Dużo myślałem na ten temat, Wasza Lordowska Mość - mówił Watkins wyciągając nocny strój lorda - i mam przeczucie, że ten nóż był przeznaczony dla mnie.

- Dlaczego tak myślisz? - zdziwił się lord.

- Wydaje mi się, że nie domyślili się, że pan Standish zajął moje miejsce, ale mogli podejrzewać, że miałem coś wspólnego z jego zniknięciem i dlatego chcieli, abym miał po nich jakąś pamiątkę.

Lord Braydon nadażał bez trudu za rozumowaniem Watkina. Rzeczywiście, taka zemsta bez widocznego powodu leżała w naturze Niemców. Z pewnością przeszukiwano teraz cały Berlin, aby odnaleźć Thurstona Standisha. Jedno było jednak pewne: nie oskarżano o nic lorda i jego służącego, bo

gdyby tak było, Niemcy na pewno bardziej by się wysilili, aby ich zatrzymać.

- Czy myślisz, że panu Standishowi nic się nie stanie?

- Musimy go tylko regularnie karmić i sprawdzać czy nie traci krwi, poza tym wszystko powinno być w porządku.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Proszę to zostawić już mnie - powiedział wesoło Watkins. - Chyba Jego Lordowska Mość zdaje sobie sprawę, że pana Standisha nie można ruszać przez następnych kilka dni.

- Wiedziałem, że o tym wspomnisz, dlatego poczekamy trochę u wybrzeży Francji i dopiero potem odbijemy na pełne morze.

- To mi odpowiada, Wasza Lordowska Mość. Lubię „zabojaków”, czego jednak nie mogę powiedzieć o Niemcach - zaśmiał się Watkins.

Lord zgadzał się z Watkinsem w zupełności i też wybuchnął śmiechem. Przebrawszy się poszedł do saloniku, gdzie czekała na niego Loelia. Miała na sobie śliczną, chociaż dosyć skromną, jedwabną sukienkę, która bardziej nadawała się na popołudnie niż na wieczór. Była to jednak jedyna suknia, jaką miała, oprócz tej, w której podróżowała. W jej błękitcie Loelia wyglądała niezwykle młodo. To sprawiło, że lord znów poczuł się jakby ? rozmawiał z dzieckiem, ale dzieckiem niezwykle bystrym i inteligentnym.

Kiedy lord wszedł do salonu w swym wieczorowym ubraniu, w którym wyglądał bardzo przystojnie, Loelia spojrzała na niego z nie ukrywanym podziwem.

- Papa śpi spokojnie - powiedziała. - Chciałam tylko na niego popatrzeć, Watkins powiedział mi, że zanim poszedł spać, zjadł cały talerz odżywczej zupy.

- Jestem pewien - rzekł lord - że możemy zostawić pani ojca w dobrych rękach Watkinsa i zrobić sobie krótkie wakacje z dala od wszystkich trosk i smutków.

- Czy na pewno nie powinien pan wracać prosto do Anglii? Jestem pewna, że wszyscy tam tęsknią za panem, a i panu na pewno musi brakować wszelkich balów i rozrywek... sezonu.

Lord usiadł na sofie i odpowiedział:

- Kiedy zostałem wysłany do Niemiec, rzeczywiście byłem zły, że muszę zrezygnować z tych wszystkich przyjemności, które pani wymieniła. Teraz jednak cieszę się, że jestem tu gdzie jestem. Tylko, oczywiście, pani obowiązkiem będzie osobiście dopilnować, aby nie zabrakło mi żadnego innego rodzaju rozrywki.

Chciał się z nią trochę podroczyć, ale Loelia wyglądała na zmartwioną.

- Jak może pan nawet sugerować, że potrafiłabym zrekompensować mu brak wszystkich tych przyjemności, wszystkiego za czym pan tęskni, szczególnie pańskich koni.

- Wiedziałem, że wcześniej czy później znowu wrócimy do koni, a jako że zakotwiczyliśmy właśnie przy tej części Francji, gdzie jest kilka stajni, myślę, że w czasie, gdy pani ojciec śpi, moglibyśmy udać się na małą przejażdżkę.

Zobaczył ogniki podniecenia w oczach Loelii.

- Czy mówi pan serio? To... to byłoby cudowne, tylko... tylko chyba pan wie, że nie mam odpowiedniego stroju.

- A więc będziemy musieli znowu wysłać Watkinsa na zakupy. Bardzo to lubi i ma gust, o czym świadczy choćby ta piękna suknia.

Loelia spojrzała na sukienkę, jakby oglądała ją po raz pierwszy. Dla lorda było to niezwykle, gdyż żadna z jego znajomych nie zapominała o tym, co ma na sobie, szczególnie, gdy on znajdował się obok.

- Jestem pewna, że ta suknia jest dużo droższa od wszystkich sukienek, na które mogłabym sobie pozwolić - powiedziała Loelia - więc bardzo proszę, aby nie wydawał pan więcej na mnie pieniędzy.

- Nie mam zamiaru dyskutować o tym. Wszystko, co pani posiadała, zostało w miejscu, którego nazwy nie chcę nawet wymieniać, a więc dopóki nie wrócimy do Anglii, muszę dopilnować, aby była pani przynajmniej porządnie ubrana.

- Jestem pewna, że... że mogłabym znaleźć coś taniego do konnej jazdy.

- A ja jestem pewny, że to nie zadowoliliby Watkinsa, który uważa siebie za znawcę mody.

Loelia się roześmiała i po chwili rzekła:

- Będzie mi więc łatwiej po prostu podziękować panu za wszystko aniżeli kłócić się, skoro i tak już pan podjął decyzję.

- Wreszcie mówi pani sensownie.

- Czy zawsze uważa pan, że tylko to co jest zgodne z pana zdaniem, należy uważać za sensowne?

- Oczywiście! - odparł. - Tylko tego oczekuję, szczególnie że, jak pani dobrze wie, oboje jesteśmy zaangażowani w sprawę niezmiernie wagi - i czując, że musi to wreszcie z siebie wydusić, dodał: - Proszę nie zapominać, że pani, i ja, i oczywiście Watkins uratowaliśmy jednego z najważniejszych ludzi od tajnych misji Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Wiem, że markiz Salisbury będzie bardzo zadowolony z tego czego dokonaliśmy, nawet jeżeli nie zdoła podać do publicznej wiadomości jacy okazaliśmy się sprytni i przebiegli.

- Tego jak pan sprytnie postępował - powiedziała Loelia, impulsywnie wyciągając ręce w jego kierunku. - Gdybym tylko potrafiła panu powiedzieć, jak dużo dla mnie znaczy to, że mam papę przy sobie i... że on... żyje.



Przy ostatnim słowie głos jej się załamał, więc lord powiedział pośpiesznie:

- Teraz napijemy się szampana, aby uczcić nasze wspaniałe zwycięstwo! Chciałbym tylko widzieć minę komandora, gdy się zorientował, że "jego ptaszek wyfrunął z klatki", chociaż była zamknięta.

- Na pewno podejrzewa pana i Watkinsa.

- Może nas podejrzewać, ale będzie mu bardzo trudno udowodnić nawet sobie samemu, że braliśmy bezpośredni udział w tej sprawie - napełnił szampanem dwa kieliszki i dodał: - Oczywiście pani ojciec już nigdy nie wróci do Niemiec, dotyczy to również pani.

Loelia wykrzyknęła z przerażeniem:

- A czy Niemcy... kiedy dowiedzą się, że papa wrócił do domu... czy nie spróbują go... zranić?

Przed słowem „zranić” Loelia zawahała się nieco. Lord Braydon wiedział, że miała na myśli, że Niemcy mogą po prostu zabić jej ojca. To było coś, co również jemu nie dawało spokoju.

Podał jej kieliszek szampana i ponownie usiadł obok.

- Proszę mnie teraz posłuchać. Też o tym myślałem i proponuję, aby na jakiś czas, a przynajmniej dopóki nie dowiemy się, że pani ojciec nie jest już przedmiotem zainteresowania Niemców, oboje państwo zamieszkali w moim domu.

Loelia popatrzyła na niego z prawdziwym zdumieniem, gdyż taka myśl nigdy nie przyszłaby jej do głowy.

- Ależ... nie możemy tego zrobić!

- Nie rozumiem dlaczego? Mówiła mi pani, że widziała zdjęcia mojego domu i wie na pewno, że jest wystarczająco duży dla każdej liczby gości.

- Tak, ale to dla pańskich przyjaciół...

- Czy sugeruje pani, że po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, pani i jej ojciec jesteście dla mnie kimś innym?

Loelia się zaczerwieniła i zawstydzona spojrzała w inną stronę.

- Lubię myśleć, że... jesteśmy przyjaciółmi - powiedziała - ale i tak jest to inna przyjaźń od tej, którą darzy pan pozostałych ludzi.

- Tak, Jest to inna przyjaźń" - zgodził się lord i wstał, ponieważ steward wniósł właśnie do salonu pierwsze danie kolacji.

Następnego ranka, upewniwszy się, że pacjent niczego nie potrzebuje, Watkins zszedł na brzeg. Gdy wrócił, lord Braydon siedział na pokładzie, wygrzewając się w słońcu. Watkins poinformował go, że dwa konie zostaną dostarczone z pobliskiej wioski rybackiej, która znajduje się o milę od miejsca, gdzie zakotwiczyli poprzedniego popołudnia. Watkinsowi udało się również zdobyć strój do jazdy konnej dla Loelii.

- Dwie mile stąd jest miasteczko - wyjaśnił lokaj. - Pójdę tam jutro, a może jeszcze dzisiaj po południu, aby zobaczyć, co uda mi się zdobyć. Myślę, że panience Loelii będzie do twarzy w tym, co kupiłem i że okaże się to całkiem wygodne - wskazał na spódnicę i bluzkę do konnej jazdy, spoglądając jednocześnie na swego pana w nieco impertynencki sposób.

Lord Braydon zignorował to i powiedział:

- Dziękuję ci, Watkins. Lepiej pokaż pani Loelii, co jej kupiłeś i sprawdź, czy twój pacjent ma coś pożywnego do jedzenia.

Watkins nie przejął się zbyt obojętnością lorda i poszedł poszukać Loelii, która z pewnością wysłucha z zainteresowaniem jego opowieści o tym jak szukał dla niej odpowiedniego stroju w miejscu, w którym, jak to określił, „diabeł mówi dobranoc”.

Po wspaniałym obiedzie, Loelia w swej nowej białej bluzce i szerokiej, ładnej, chociaż dosyć taniej spódnicy, zeszła na brzeg. Watkins zapomniał o kapeluszu, więc upięła tylko wysoko włosy.

Kiedy dosiadła wspaniałego konia, który na nią czekał, poczuła się najszcześniejszą osobą na świecie i wkrótce zapomniała o sobie. Lord Braydon wyglądał imponująco, zdawał się być częścią swojego wierzchowca, który zasługiwał na najwyższe uznanie.

Jechali przez dzikie, nie uprawiane pola, dochodzące do samego wybrzeża, a potem nagle znaleźli się w żyznej dolinie, w której pracowali mężczyźni i kobiety. Wkoło panowała cisza i spokój, tak kojące po burzliwym i niespokojnym pobycie w Berlinie. Loelii wydawało się nieprawdopodobne, że oba te miejsca istnieją na tej samej planecie.

Lord Braydon, patrząc na Loelię, zapytał:

- Jest pani szczęśliwa?

- Mam wrażenie, jakbym znalazła się w jakiejś bajce i jakby się spełniły wszystkie moje marzenia.

- Dziękuję. Loelia się zaśmiała.

- A pan oczywiście jest moją dobrą wróżką, chociaż powinnam raczej powiedzieć „czarodziejem”, który jednak w żadnej bajce nie gra szczególnej roli.

- Prawie się boję, że za chwilę obsadzi mnie pani w roli przebiegłego barona lub może złego czarnoksiężnika!

- Jak może pan tak w ogóle myśleć? Oczywiście, jest pan czarującym księciem...

- Który odkrył, że gęsiareczka okazała się księżniczką? - dokończył. - To z pewnością byłoby niezwykle osiągnięcie.

Loelia spojrzała w inną stronę i powiedziała:

- To musiało się zdarzać... wiele razy... a może wszystkie pana księżniczki pochodziły z królewskiego rodu?

- Myślałem, że jest pani częścią bajki - odparł lord cicho - a w mojej książce księżniczka nigdy nie jest cyniczna ani sarkastyczna. Zawsze patrzy na świat przez różowe okulary i dlatego jest szczęśliwa.

- Chcę być właśnie taka... ale ciągle się boję...

- Już pani mówiłem, że złe chochliki zostały za nami, a nie uwierzę, że pani boi się mnie.

- Nie pana... boję się tylko przebudzenia... Lord się roześmiał. Słońce powoli zachodziło i robiło się coraz chłodniej. Zawrócili w kierunku jachtu. Gdy ich oczom ukazał się „Lew morski”, stojący w zatoczce, Loelia zapytała:

- Kiedy papa poczuje się na tyle dobrze, żebyśmy mogli wrócić do Anglii?

- Tak bardzo się pani spieszy?

- Nie, oczywiście, że nie! Po prostu, boję się, że może... że może stanowimy dla pana nudne towarzystwo i że zbyt się panu narzucamy.

- Ponieważ jestem okropnym egoistą, nigdy nie pozwoliłbym sobie na nudę - odparł lord Braydon. - Więc gdybym naprawdę się nudził, już dawno wrócilibyśmy do Anglii, gdzie zostawiłbym państwa czym prędzej, aby wrócić do tego, co określiła pani jako „moje rozrywki”.

- A czy właśnie to chce pan zrobić?

- Mówiłem już, że zawsze robię to co chcę, chyba że otrzymam rozkaz, aby pojechać do Berlina.

Loelia się zaśmiała.

- Przynajmniej teraz książę Walii nie może panu niczego rozkazać, jako że nie ma pojęcia, gdzie pan przebywa!

- Właśnie to mnie najbardziej cieszy, więc proszę przestać kusić tym, czego jak pani sądzi, mi brakuje.

- Czy uważa pan, że to właśnie robię? - spytała Loelia. - Myli się pan... oczywiście... bardzo chcę tu zostać... jeździć z

panem na przejażdżki i... rozmawiać z panem, co jest najprzyjemniejszą rzeczą, jaka mi się przydarzyła w życiu.

Lord Braydon nie odpowiadał, więc po chwili Loelia dodała:

- Nie wierzyłam, że ktoś taki jak pan w ogóle istnieje na świecie.

- Co ma pani na myśli?

- Jest pan... młody, a jednocześnie... posiada mądrość doświadczonego człowieka. Należy do wielkiego świata, a mimo wszystko... o ile nie jest pan tylko dobrym aktorem... pojechał pan ze mną na tę przejażdżkę - mówiła wolno, dobierając słowa, chcąc aby zabrzmiały one jak prawdziwy komplement.

- Mogę się z tym zgodzić. - powiedział lord. - A do jakiej konkluzji doszła pani na mój temat?

- Że jest pan... niepowtarzalny... i wspaniały! - swobodnie powiedziała Loelia.

Potem spojrzeli na siebie i długo nie mogli oderwać od siebie oczu.

## Rozdział 7

Braydon wszedł do kabiny Thurstona Standisha i zastał go siedzącego w łóżku i piszącego.

- Jak się pan dziś czuje? - spytał lord. Thurston Standish uśmiechnął się do niego i odparł:

- Proszę usiąść. Muszę z panem pomówić.

- Oczekiwałem tego, ale nie chciałem pana męczyć, zanim nie poczuje się pan lepiej.

- Tak, jest znacznie lepiej i rana się podgoiła - odparł ojciec Loelii. Wręczając lordowi plik papierów, powiedział: - To raport na temat działań, które pana interesuje.

Lord pobieżnie przejrzał sprawozdanie i z zadowoleniem stwierdził, że zawiera ono dokładnie to, co chciał wiedzieć.

- Czy mogę przekazać te dokumenty księciu Walii, aby on z kolei dał je markizowi Salisbury? - spytał nieśmiało, bo przecież Thurston Standish został wysłany do Berlina przed nim.

- Biorąc pod uwagę, że uratował pan mnie i moją córkę, nie mógłbym panu niczego odmówić.

Lord Braydon nie odpowiadał. Patrzył na raport i myślał o tym jaki uradowany będzie książę Walii. Wreszcie to on będzie miał coś konkretnego dla markiza, to on będzie „wtajemniczony”.

- Wie pan, jaki jestem panu wdzięczny - odezwał się Thurston Standish - i nie tylko za to, że wywiózł mnie pan z Berlina, ale przede wszystkim za uratowanie Loelii od konsekwencji jej porywczego działania.

- Mam nadzieję, że nie był pan na nią zły - odparł szybko lord. - Ona wie, że popełniła ogromny błąd i na pewno więcej tego nie zrobi.

- W żadnym razie, o ile by chodziło o mnie. Lord popatrzył na niego pytająco.

- To jest moja ostatnia misja i tylko dzięki panu się udała. Nie mam ochoty odchodzić w poczuciu klęski.

- Nie rozumiem.

- A więc muszę mówić jaśniej. Nikt, oprócz mojego lekarza, nie wie, że jestem ciężko chory. Kiedy wyjeżdżałem z Anglii, lekarze powiedzieli mi, że nawet gdybym nie przywiózł materiałów dotyczących niemieckiego działania, którym tak interesuje się markiz Salisbury, z osobistego punktu widzenia nie będzie to miało dla mnie większego znaczenia, bo i tak nie będzie mnie już tutaj, aby przyjąć tę porażkę.

Lord Braydon nadal nie rozumiał, o co w tym wszystkim chodzi, więc Thurston Standish dodał:

- Mam gruźlicę i jedno płuco jest już bardzo zniszczone. Moja śmierć to tylko kwestia czasu, gdyż lekarze, jak mnie uczciwie poinformowali, nie mogą nic dla mnie zrobić.

- Naprawdę bardzo... bardzo mi przykro - powiedział cicho lord.

- I całkiem niepotrzebnie. Jeżeli choroba ma mnie powstrzymać od robienia rzeczy, które naprawdę lubię, a niebezpieczeństwo jest pasją mego życia, to wolę już umrzeć.

- W pewnym sensie pana rozumiem - odezwał się lord myśląc o małej posiadłości Standisha z kilkoma akrami ziemi, którą Loelia niedawno mu opisała. On też nie mógłby długo wytrzymać w miejscu, które tak bardzo ograniczało wszelkie możliwości.

- Zamierzam teraz dokończyć moją trzecią książkę i wraz z dwiema poprzednimi złożyć w pana ręce - i spojrzawszy prosząco na lorda dodał: - Jeśli pan pozwoli, lordzie, chciałbym aby pan, jako wykonawca mojego testamentu, zajął się ich wydaniem, oczywiście, kiedy uzna to pan za bezpieczne. Wierzę też, że dopilnuje pan, aby Loelia otrzymała wszystkie zyski, jakie przyniosą książki.

- Oczywiście, że to zrobię - odparł lord Braydon. - Mogę tylko powiedzieć panu, jak bardzo będzie mi go brakowało. Jest pan wspaniałym człowiekiem, który dużo przeszedł i wiele dokonał, chociaż znam to na razie tylko z wypowiedzianych szeptem opowieści za zamkniętymi drzwiami.

Thurston Standish się roześmiał. Lord spojrział na niego. Rzeczywiście był ciężko chorym człowiekiem i miał wątpliwości czy zdąży dokończyć swoją książkę.

Lord jeszcze raz przejrzał raport zanim powiedział:

- Mam pewną propozycję, wierzę, że ją pan zaakceptuje.

Thurston Standish oparł się o poduszki, jak gdyby poczuł się nagle bardzo zmęczony. Czekał co powie lord.

- Służby specjalne Niemiec na pewno już wiedzą, że posiada pan tajne informacje dotyczące nowego działu i będą pana szukać, aby upewnić się, że nikomu pan o tym nie powie. Dlatego proponuję, by na czas pisania książki pozostał pan na moim jachcie.

Thurston Standish dokładnie wiedział co by to znaczyło. Nie musiałby się martwić, że ktoś nieustannie go śledzi, a wieczorem mógłby kłaść się spokojnie do łóżka, bez obawy, że nagle ktoś się zjawi i zabije go. Nie musiałby chodzić po ulicach i dawać mordercy okazji spełnienia zadania.

- Wszystko już przemyślałem - powiedział lord - i mój jacht zabierze pana gdziekolwiek pan zechce. Myślę, że trochę słońca by nie zaszkodziło i wyprawa nad Morze Śródziemne o tej porze roku byłaby na pewno bardzo miła.

- To rzeczywiście by mi się przydało - odparł Thurston Standish - i gdybym mógł wybierać, pojechałbym do Grecji.

- Mój jacht jest więc do dyspozycji, a ja zaopiekuję się pańską córką.



- To właśnie najbardziej mnie martwi - wykrzyknął Standish. - Mam dwie starsze siostry i kilka kuzynek, które na pewno by się nią zaopiekowały.

Westchnął i mówił dalej:

- Ale z pewnością życie z nimi Loelii wyda się ogromnie nudne i monotonne po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy.

- Obiecuję, że zaopiekuję się Loelią i pańskimi planami - powiedział lord i wstając dodał: - Właśnie wybieram się teraz z nią na przejażdżkę konną, a kiedy wrócimy, jacht zabierze nas do Folkestone. Bardzo chcę spotkać się z księciem Walii, aby przekazać mu dokumenty, zanim mi je ktoś ukradnie.

- Mam nadzieję, że to się nie zdarzy. Mógłbym je, co prawda, napisać ponownie, lecz byłby to dla mnie duży wysiłek.

- Proszę wszystko zostawić na mojej głowie - lord się uśmiechnął i wyszedł z kabiny kierując się na górny pokład, gdzie czekała na niego Loelia.

W nowym zielonym stroju, który Watkins kupił jej w pobliskim miasteczku wyglądała niczym wiosna. Mimo że uszyty z taniego materiału, miał w sobie prawdziwie paryski szyk i Loelii było w nim prześlicznie.

- Watkins znów utożsamia się z Fryderykiem Worthem - zaśmiała się Loelia - i mam nadzieję, że podoba się panu jego wybór.

- Wygląda pani bardzo elegancko i szykownie, ale zanim pojawi się pani na angielskim polowaniu, będzie musiała kupić inny strój.

- Obawiam się, że to nigdy nie nastąpi, gdyż polowania były zawsze za drogie dla papy i dla mnie. Ale jestem pewna, że spodoba mi się tym kilku koniom, które mamy w domu.

Wyraźnie się z nim droczyła. Lord miał już zamiar przyjąć ten sam ton, ale po chwili zrezygnował i w milczeniu jechali przez francuskie pola. Po jakimś czasie zatrzymali się w małej

przydrożnej karczmie na obiad, gdzie jedzenie okazało się rzeczywiście wyśmienite. Podczas posiłku długo rozmawiali i po powrocie na jacht Loelia uświadomiła sobie, że nigdy w życiu nie spędziła jeszcze tak miłego dnia, w dodatku z równie inteligentnym mężczyzną. Mimo że od niej starszy, droczył się z nią i śmiał jakby byli rówieśnikami.

Kiedy wrócili na jacht, stajenny już czekał, aby zabrać konie do stadnin, z których pochodziły.

- Musi się pani pożegnać z naszymi wierzchowcami, Loelio - powiedział lord Braydon - bo nie będziemy już na nich jeździć.

Loelia spojrzała na niego i powiedziała, jak mu się wydawało, znacząco:

- Jestem im bardzo, bardzo wdzięczna... że tak dobrze mnie nosiły.

Pomógł jej zsiąść z konia i w chwili gdy jej dotknął, poczuł że dziewczyna drży. Zapłacił stajennemu za konie i skierowali się do zatoczki, w której stał zakotwiczony jacht.

Loelia znalazłszy się na pokładzie, pobiegła do ojca, ale przed kabiną zatrzymał ją Watkins, który właśnie stamtąd wychodził mówiąc:

- Pan Standish śpi, panienko.

- A więc nie mogę mu przeszkadzać. Czy zjadł obfity obiad?

- Próbował panienko i tego popołudnia pracował nieco nad książką, co go pewnie zmęczyło.

. - Nie powinien się za bardzo wysilać - powiedziała stanowczo Loelia.

Idąc do swojej kabiny, zastanawiała się jak jej ojciec zniesie podróż na pełnym morzu. Nie mówiąc już o drodze do domu lorda lub ich własnej posiadłości. Chciała z nim o tym pomówić, ale jednocześnie wiedziała, że nie powinna go martwić. Postanowiła więc poczekać do czasu, gdy rana się

całkowicie zagoi. Teraz sama zaczęła się niepokoić. Watkins powiedział, że ojciec czuje się lepiej, ale zdawała sobie sprawę, że nadal jest bardzo słaby. Wciąż był blady, co tak ją przeraziło, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy w piwnicy komandora Edersniera.

Loelia rozebrała się i położyła na łóżku, pomyślała bowiem, że lord Braydon chce zapewne pobyć trochę sam po całym dniu spędzonym tylko z nią. Ona mogłaby jeszcze dłużej z nim przebywać i toczyć tak intrygujące rozmowy. Wiedziała, że musi pielęgnować te momenty, gdyż nieczęsto ma się okazję obcować z tak inteligentnym człowiekiem.

Loelia nie traktowała zbyt poważnie propozycji lorda dotyczącej zamieszkania w jego domu w Oxfordshire. Nie mogą mu się przecież za bardzo narzucać. Spodziewała się jednak, że rozstanie z nim będzie bardzo bolesne. Leżąc w swojej kabinie, podczas gdy słońce spokojnie zachodziło, modliła się w duchu o kilka chwil więcej z lordem Braydonem. Bez niego jej świat stanie się mały, a ona bardzo w nim samotna. „Na pewno papa wkrótce wybierze się na kolejną wyprawę.” - myślała. „A ja wtedy nie będę miała nic poza koźmi i niepokojem o jego bezpieczeństwo”. Zadrżała na myśl, że zanim jeszcze ojciec wybierze się na nową misję, Niemcy mogą próbować go zabić, gdyż wie więcej niż powinien. „Co ja zrobię? Kogo poproszę o pomoc?” - zadawała sobie pytania. I wtedy przyszedł jej na myśl lord Braydon i wiedziała już, że jest on jedyną osobą, której mogła zaufać i zwrócić się o pomoc. „Ale jak mogę ciągle zawracać mu głowę?” - ta myśl nie dawała jej spokoju. Gdy przypomniała sobie, jaki okazał się miły, silny, autorytatywny, kiedy to było konieczne, poczuła, że właściwie wypełnia jej cały świat. Próbowała ukryć to przed sobą samą, ale wreszcie musiała się przyznać. „Kocham go! Kocham go!” - powtarzała w myślach. Czuła się bezpiecznie w swej kabinie, bo była na

jego jachcie. „Lew morski” wydawał się jej magicznym pałacem, gdyż on był jego właścicielem. Miała do czynienia z prawdziwym „czarującym księciem”. „Podczas gdy ja nie jestem Kopciuszkiem, Gęsiareczką ani też księżniczką z jego marzeń” - wyszeptała. Poczowała łzy w oczach, gdyż wszystko wyglądało tak beznadziejne. Marzyła o księżycu, który zawsze pozostanie poza jej zasięgiem.

- Kocham go! - powiedziała na głos, gdy ubierała się na kolację.

Założyła nową suknię, którą kupił jej Watkins w tym samym czasie, co strój do jazdy konnej. Suknia była bardzo prosta, ale znowu miała ten francuski szyk, którego zawsze brakowało strojom angielskim. W szerokiej spódnicy, z mocno ściśniętą talią, Loelia wyglądała jak kwiat. Nie wiedziała, że dla lorda jest niczym pączek róży, który dopiero rozkwitnie. Braydon czekał na nią w saloniku. Loelia odkrywszy, że go kocha, nie potrafiła spojrzeć mu w oczy, czuła się bardzo onieśmielona.

Jacht stał na kotwicy, morze było spokojne i słychać tylko było delikatne uderzenia fal o burtę. Słoneczne refleksy połyskiwały na wodzie. Loelia czuła się jak w bajce.

Lord podniósł się na jej widok i dziewczyna pomyślała, że żaden inny mężczyzna nie mógłby w stroju wieczorowym wyglądać bardziej okazale i dostojnie;

- Watkins powiedział mi, że kupił pani nową suknię i myślę, że już pani wie jak bardzo jest jej w niej do twarzy.

Loelia się zaczerwieniła i po chwili, czując, że musi zadać to pytanie, powiedziała:

- Czy to... nasz... ostatni wieczór razem?

- Mam nadzieję, że nie - odparł lord - ale o tym porozmawiamy po kolacji.

Stewardzi wnosili kolejne dania, a oni rozmawiali, podobnie jak przy obiedzie, na tematy, których lord nigdy nie

poruszał z żadną kobietą. Jako że Loelia spędzała tak wiele czasu z ojcem i czytała mnóstwo książek, zasypywała lorda cytatami, w czym nie udało mu się jej prześcignąć. Musiał też bardzo się starać, aby wymyślać sensowne argumenty. Uznał to za fascynujące. Po kolacji Loelia przeprosiła na chwilę lorda Braydona i poszła powiedzieć ojcu „dobranoc”. Ponieważ był bardzo śpiący, nie zabrała mu dużo czasu i po chwili pojawiła się z powrotem w saloniku. Ale lorda tam nie zastała, poszedł na pokład. Wpatrywał się w otwarte morze, które jeszcze błyszczało w ostatnich promieniach słońca. Opierał się o balustradę i Loelia przyłączyła się do niego. Przez chwilę lord nic nie mówił tylko patrzył na dziewczynę, która w obawie przed jego wzrokiem odwróciła głowę w inną stronę.

- To nasz ostatni wieczór - odezwał się wreszcie lord - i zastanawiam się czy pani była przez te ostatnie kilka dni równie szczęśliwa jak ja.

- Czy naprawdę był pan szczęśliwy?

- Bardzo.

Loelia westchnęła i powiedziała:

- Bałam się... że będzie pan znudzony.

- Zauważyłem kiedyś, że nuda rodzi się z tego, co oczywiste, a szczególnie wtedy gdy wiemy, co druga osoba powie. Pani natomiast okazała się niezwykła i zupełnie inna od osoby, którą poznałem w pociągu.

- Dziękuję.

- Zastanawiałem się, czy po tym wszystkim co razem przeżyliśmy, będzie pani za mną tęsknić.

Jego słowa zaboląły Loelię, ponieważ zawierały zapowiedź rozstania. Przez moment zastanawiała się czy powiedzieć mu jak bardzo będzie go jej brakowało i że bez niego nic już nie pozostanie takie samo. Ale pomyślała, że to

może okazać się dla niego zbyt kłopotliwe, więc odparła, patrząc na morze:

- Oczywiście pan zajmie się innymi rzeczami, ale... ja... nigdy nie zapomnę, jaki był pan miły... mądry... i cudowny.

- Czy mówi pani serio? Chciałbym wierzyć, że to prawda.

- Ależ oczywiście, że tak.

- Jeśli mam być tego pewien, proszę na mnie spojrzeć, Loelio.

Ponieważ obawiała się, że lord odgadnie jej uczucia, Loelia nadal wpatrywała się w morze. Po chwili jednak, jakby zmuszona jego milczeniem i bezruchem, odwróciła głowę. I jeszcze wolniej podniosła na niego oczy. Przez moment żadne nie mogło się poruszyć. Dla Loelii istniały tylko jego szare oczy, które zdawały się wypełniać jej cały świat. Wolniutko, aby jej nie przestraszyć, lord objął ją i przyciągnął do siebie, czując jak całe jej ciało drży. Spojrzał na nią, na jej twarz z szeroko otwartymi oczami i delikatnie rozchyłonymi ustami. Była jak słońce. I już po chwili ją całował, trzymając w objęciach niczym niewolnika. Loelii zdawało się, że straciła oddech, a wszystko wokół niej przepełniał emanujący od lorda Braydona blask. Wiedziała jak bardzo pragnęła tego pocałunku, jak bardzo do niego tęskniła, chociaż nigdy nie sadziła, że to marzenie się spełni. Sama nie mogła tego wszystkiego zrozumieć. Z pewnością była bardzo szczęśliwa, gdyż w tej chwili należała do niego. Teraz nie istniało nic poza siłą jego ramion i ekstazą, która ją przepelniała.

I dopiero kiedy lord uniósł głowę, powiedziała nieswoim głosem:

- Kocham cię!

Mówiła prawie nieprzytomnie. Lord, nie mogąc znaleźć właściwych słów dla wyrażenia tego co sam czuje, znowu zaczął ją całować. Loelia odczuła całą ognistość pocałunku. Wydawało się jej jakby słońce zamieniło się w płomień

pełzające od piersi do ust. Było to tak niezwykle doznanie, tak inne od wszystkich, jakie kiedykolwiek przeżyła, że zdawało jej się, iż umarła i jest w niebie, w niebie ekstazy, której nie można opisać słowami. Nie umiała myśleć, czuła się tylko tak, jak nigdy przedtem. Pocałunki lorda uniosły ją wysoko, aż do księżycy, którego nigdy nie mogła dosięgnąć. Wewnątrz niej migotały wszystkie gwiazdy, a słońce paliło jak ogień.

Loelia coś wymamrotała i ukryła się w ramionach lorda. On objął ją jeszcze mocniej i powiedział:

- Kocham cię, moje kochanie. Tak bardzo się bałem, że cię przestraszę, ale teraz, kiedy wiem, że mnie kochasz, wszystko jest proste.

- Kocham cię... kocham! - szeptała Loelia.

- Chcę, abys mi to powtarzała tak długo, aż w to uwierzę. Bałem się, że nie wydam ci się wystarczająco inteligentny.

Loelia zdusiła śmiech i odrzekła:

- Jak mogłam być taka głupia? Dlaczego nie zdawałam sobie sprawy, że istnieje na świecie ktoś taki jak ty?

- Jestem tutaj i nie pozwolę ci szukać nikogo innego.

- Mówisz tak, jakbym tego chciała!

Po chwili Loelia, jakby nie wierząc w to, co się stało, popatrzyła na lorda i spytała:

- Czy naprawdę powiedziałeś, że mnie kochasz?

- Kocham cię tak bardzo, że nie mogę myśleć o niczym innym i dlatego weźmiemy ślub, gdy tylko to będzie możliwe, to znaczy kiedy dotrzemy do angielskiego brzegu Kanału.

- Weźmiemy... ślub? - z trudem wypowiedziała te słowa.

- To normalne, moja śliczna, kiedy dwoje ludzi się kocha - cicho odparł lord.

- Ale... ja nigdy nie myślałam... nie marzyłam, że ty... że się ze mną ożenisz! Jesteś zbyt wspaniały... zbyt ważny... może ja cię zawiodę, będziesz rozczarowany.

Lord się roześmiał.

- Muszę podjąć to ryzyko, ale nie sądzę moja kochana, aby miało się stać jak mówisz, Nigdy nie będziemy się ze sobą nudzić, chyba że przebywanie ze mną uznasz za nudne i mało ekscytujące po życiu jakie prowadziłaś ze swoim ojcem.

- Jak możesz... mówić coś tak niemądrego? - ale gdy zorientowała się, że żartował dodała: - Proszę... oczywiście... chcę za ciebie wyjść za mąż... ale czuję, że nie powinieneś tego robić.

- Czy sugerujesz, że pomimo tego, co już oboje wiemy i co do siebie czujemy, powinienem cię opuścić?

Loelia instynktownie przysunęła się do niego i przytrzymała go za klapy marynarki, jakby bojąc się, że może zniknąć.

- Nie zniosłabym, gdybym cię miała teraz stracić - powiedziała.

- To się nigdy nie stanie.

- Ale co będzie... jeśli Niemcy...?

- Nie wolno ci o tym myśleć! - powiedział ostro lord. - W Anglii będziemy dobrze chronieni i już zająłem się tym, aby twój ojciec mógł być absolutnie bezpieczny...

Chciał powiedzieć „do końca swoich dni”, ale w porę się powstrzymał, wiedząc, jak bardzo zaniepokoiłoby to Loelię, gdyby powiedział, że dni jej ojca są policzone. Kiedy zostanie jego żoną i kiedy będzie się mógł nią zaopiekować, wtedy postara się jej wytłumaczyć. Dziewczyna pojmie, że Thurston Standish woli umrzeć u szczytu kariery zamiast zestarzeć się i żyć w beczynności.

Loelia była słodka, młoda i delikatna i, o czym wiedział lord, bardzo naturalna. Obiecał sobie, że będzie się nią opiekował i podtrzymywał na duchu do końca życia. Wiedział, że pierwszym jego zadaniem stanie się uszczęśliwienie jej, aby śmierć ojca nie stała się dla niej takim szokiem. Chciał przejść przez to razem z nią i sprawić, aby ich



życie zostało wzbogacone myślami o Thurstonie Standishu, a nie tylko smutnymi rozmyślaniami na temat przeszłości.

Lord powiedział cicho:

- Chyba rozumiesz kochanie, że teraz, kiedy twój ojciec napisał szczegółowy raport dotyczący nowej broni niemieckiej, muszę jak najszybciej przekazać go księciu Walii. Ale ponieważ nie mogę i nie chcę cię zostawić, zabiorę cię ze sobą jako moją żonę.

- Czy jesteś pewien, że to właściwy wybór? - spytała Loelia z obawą, chociaż z jej postaci promieniowała niezwykła radość, która dodawała jej uroku. Lordowi wydawało się, że nigdy nie widział nikogo piękniejszego.

- Zrobimy tak, jak powiedziałem - odparł lord. - W tym czasie twój ojciec, ponieważ nie wolno mu się martwić ani narażać na niebezpieczeństwa, zostanie na jachcie i dokończy drugą część swojej książki.

Loelia krzyknęła z radością:

- Papie na pewno się to spodoba! Uwielbia morze i będzie szczęśliwy na tym cudownym jachcie. Ponadto ja pozbędę się zmartwienia, że śledzą go Służby Specjalne.

- O nic nie musisz się martwić, gdy wyjdiesz za mnie za mąż, tylko oczywiście o... mnie!

- Chcę się tobą opiekować, a przede wszystkim kochać cię, kochać całym sercem i duszą. Czy to wystarczy?

W ostatnim pytaniu zabrzmiała nutka strachu i lord szybko odparł:

- Przecież wiesz, że tego właśnie pragnę i tego mi zawsze brakowało w życiu - patrzył na nią chcąc zapamiętać jej piękno. - Nie mogę udawać, że kobiety nie kochały mnie na swój sposób, ale ty jesteś jedyna, która się za mnie modliła, czytała moje myśli i daje mi coś czego nigdy dotąd nie miałem.

- Cóż to takiego?

- Kiedy cię pocałowałem, wiedziałem, że oddałaś mi nie tylko serce, ale i duszę.

- A ty dajesz mi słońce... księżyc... gwiazdy... i światło, które może pochodzić tylko od Boga - wyszeptała Loelia.

Lord znowu zaczął ją całować łapczywie, porywczo, namiętnie. Nie bała się. Wiedziała teraz, że miłość to nie tylko romantyczne uczucie, z którym ją dotychczas utożsamiała. Było to coś dużo bardziej podniecającego, coś mocnego jak samo życie, coś co mogło być ciche i delikatne jak spokojne morze wokół nich, a jednocześnie gwałtowne i pociągające jak sztorm.

Loelia wiedziała, że lord będzie ją musiał wielu rzeczy nauczyć. Już teraz każdy nerw jej ciała odpowiadał na jego bliskość w sposób, o jakim nigdy nie marzyła. Zrozumiała, że znalazła miłość w całym jej majestacie i sile.

Całował ją długo, jakby chcąc się upewnić, że należy wyłącznie do niego, na wieki. A Loelia powtarzała tylko w swoim sercu: „Kocham cię... kocham cię... nawet śmierć nas nie rozłączy”.

Kiedy Loelia się obudziła, jacht już dawno stał w przystani. Zasnęła, wiedząc że jej cały świat się zmieni. Nie była już sobą, ale stanowiła część człowieka, którego kochała. Nie miała myśli, które nie należałyby do niego.

Z lordem rozstała się bardzo późno, a usnęła właściwie dopiero nad ranem. Kiedy się obudziła, słońce stało wysoko. Pomyślawszy o ojcu zarzuciła na siebie śliczny bawełniany szlafroczek i poszła do jego kabiny. Siedział oparty o poduszki i pisał. Kiedy Loelia podeszła do niego powiedział:

- Dowiedziałem się, że to dzień twojego ślubu! Loelia rzuciła się ojcu na szyję:

- Och, papo... jestem taka szczęśliwa!

- I ja cieszę się z twojego szczęścia, kochanie. Myślę, że to przeznaczenie postawiło tego człowieka na twojej drodze i

wiem, że należycie oboje do siebie tak samo jak ja i mama należeliśmy do siebie.

- Jestem tego pewna - odparła Loelia. - Ale wiesz papo, że nie mogę cię stracić i dlatego, kiedy tylko poczujesz się lepiej, zamieszkas z nami w domu lorda w Oxfordshire.

- Na razie mam dużo pracy, a ponieważ myślę, że zrobię więcej, gdy zostanę sam, przyjąłem propozycję twojego przyszłego męża i zostanę jakiś czas na tym jachcie - uśmiechnął się i ciągnął dalej: - Chcę odwiedzić różne interesujące miejsca na Morzu Śródziemnym, inne od tych, które dotąd widziałem.

Loelia się zaśmiała.

- Będiesz czuł się wspaniale mając do dyspozycji swój własny jacht, a nie na przykład niezbyt wygodny powóz, pełen innych pasażerów, którym w tamtym roku podróżowaliśmy po Francji.

- Muszę to koniecznie opisać w mojej książce!

- I nie wolno ci też zapomnieć o mnie, papo. Te książki na pewno przyniosą ci sławę i chciałabym być choć małą jej częścią.

- Bardzo dużą częścią - poprawił ją ojciec.

Jeszcze chwilę rozmawiali, a potem Loelia poszła do swej kabiny, aby się przebrać. Na łóżku znalazła przepiękną białą suknię. Obok niej leżał wianek z pomarańczowych kwiatków i droga woalka, z pewnością z brukselskiej koronki. Watkins znów musiał się natrudzić i po raz kolejny Loelia przyznała mu niezwykle znawstwo mody i dobry gust.

Kiedy się ubrała, postanowiła poczekać, aż ktoś po nią przyjdzie, więc uklękła przy łóżku, chcąc się pomodlić. Modliła się, aby jej mąż nigdy się nią nie znudził, a ich miłość na zawsze pozostała taka piękna i mocna jak teraz.

- Musisz mi pomóc, mamó - szepnęła. - Wiem, że byłaś bardzo szczęśliwa z papą i dobrze się nim opiekowałaś i chcę stać się taka jak ty.

Modliła się tak żarliwie, że nie usłyszała nawet, jak drzwi się otworzyły i stanął w nich lord Braydon. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Nie spodziewał się, że Loelia będzie się modlić. Pomyślał, że jest tak zupełnie inna od kobiet, które znał, tak inna, że sam nie mógł uwierzyć w to, że ją odnalazł.

Jego uczucie promieniowało tak mocno, że Loelia nagle odwróciła się, wyczuwając jego obecność w pokoju. Podbiegła do niego i wtuliła się w jego ramiona. Lord pocałował ją delikatnie, jakby była niezwykle krucha.

- Wszystko przygotowane, kochanie - powiedział. - Powóz czeka i zabierze nas do kościoła.

Loelia nie mogła pojąć do końca jego słów, czuła się przytłoczona miłością do niego. Spojrzała mu w oczy, a on powiedział:

- Jak to możliwe, że za każdym razem, gdy na ciebie spojrzę, jesteś piękniejsza?

- Chcę abyś tak myślał... Moja miłość do ciebie jest z każdą chwilą mocniejsza.

Zamiast jej odpowiedzieć, pocałował ją tylko i po chwili oboje poszli do jej ojca. Loelia pocałowała papę, lord uścisnął mu dłoń. Nie musieli nic mówić, gdyż jedno było pewne: wszystkich troje przenikała miłość.

Gdy już było po wszystkim Loelia stwierdziła, że jej ślub wyglądał inaczej niż sobie wyobrażała. Ona i lord Braydon zawarli związek małżeński w małym kościółku przy przystani. W środku było pełno sieci, bo żony rybaków zazwyczaj modliły się tu o szczęśliwy powrót mężów do domu. Wokół unosiła się atmosfera wiary i miłości, której Loelia nie odnalazłaby w żadnym kościele w Londynie.

Po ceremonii i pobłogosławieniu przez księdza małżonkowie wrócili na jacht. Zjedli lekki obiad, po czym powóz zawiózł ich do pociągu. Ku radości Loelii do składu doczepiony był dodatkowy wagon, który miał ich zabrać do domu lorda w Oxfordshire. Nigdy wcześniej nie podróżowała prywatnym wagonem. Cieszyła się tym jak dziecko, które właśnie otrzymało nowy domek dla lalek.

- To takie fascynujące - powiedziała, kiedy usiadła obok męża w salonie, gdzie zamiast pojedynczych foteli, ustawiono wygodne sofy.

- Fascynujące jest to, że mogę być z tobą sam na sam, kochanie - odparł lord.

- Ja też tego chcę. Będę się bardzo bała spotkać z tymi wszystkimi ludźmi, ciekawymi dlaczego się ze mną ożeniłeś.

- Wystarczy, że na ciebie spojrzą, a będą znali odpowiedź - powiedział lord. - A poza tym możemy dać im tysiąc innych powodów.

Przysunął się do niej, a Loelia zapytała:

- Jakich, powiedz!

- Kocham cię nie wyłącznie dlatego, że jesteś piękna, gdyż twoje piękno to nie tylko twój idealny wygląd, twoja jasna skóra czy oczy jak gwiazdy. To piękno pochodzące z serca i duszy, które należą do mnie.

Loelia westchnęła ze szczęścia i powiedziała:

- Kocham cię nie tylko dlatego, że jesteś przystojny, ale również ponieważ jesteś najmądrzejszym człowiekiem na świecie, a jednocześnie najmiłszym i najbardziej wyrozumiałym.

Lorda poruszyły jej słowa i wiedział, że nie jest to zwykły komplement. To coś w co Loelia naprawdę wierzyła. Lord pocałował ją i znów znaleźli się w tylko im znanym świecie, w którym istniała miłość.

Loelia była tak szczęśliwa, że ani rozmiary domu lorda Braydona ani jego służba jej nie przeraziły. Główny kamerdyner został już wcześniej poinformowany o małżeństwie swego pana i na powitanie młodej pary przygotował krótkie przemówienie, w którym życzył im szczęścia. Loelia wiedziała, że lorda nie uważano za okrutnego pana. Starsi służący pamiętali go jeszcze jako małego chłopca, który wraz z latami rósł i męźniał i kochali go jak własnego syna. Loelia przywitała się ze wszystkimi. Potem, gdy już szła z lordem po schodach, powiedział:

- Jesteśmy oboje zmęczeni po długiej podróży i dlatego tego wieczoru będziemy tu nieformalnie - objął ją i dodał: - Kolacja zostanie dostarczona do twojego buduaru, więc możesz spokojnie wziąć kąpiel i założyć szlafroczek, o który Watkins z pewnością zadbał.

Loelia się zaśmiała:

- Może kiedyś sama będę mogła wybrać coś dla siebie, chociaż przypuszczam, że Watkins radzi sobie z tym dużo lepiej.

- Sprawię ci taką wyprawę, jakiej nie miała jeszcze nigdy żadna panna młoda, ale musisz na to poczekać aż pojedziemy do Londynu. Do tego czasu niech Watkins zajmuje się twoją garderobą. Już dziś spędził nieco czasu w Folkestone i na pewno znalazł wszystkie potrzebne rzeczy.

Loelia znów się zaśmiała. Sądziła, że nic takiego nie przydarzyło się wcześniej żadnej pannie młodej. Nie zdziwiła się więc, gdy po kąpieli w pachnącej różami wodzie znalazła przepiękną koronkową koszulę nocną wraz ze szlafroczeniem w podobnym, różowym odcieniu.

- Jak Watkinsowi udało się znaleźć coś tak pięknie wykonanego? - spytała ochmistrzynię, która jej pomagała.

- Pan Watkins poinformował mnie, że najpiękniej szyją zakonnice. Bielizna, którą pani nosi pochodzi więc z klasztoru we Francji.

Loelia wybuchnęła śmiechem. Wszystko to wyglądało tak fantastycznie, że wydawało się częścią bajki. A już ostatecznie się o tym upewniła, kiedy weszła do buduaru, w którym czekał na nią mąż. Miał na sobie długi szlafrok ozdobiony wstążkami, który wyglądał niczym uniform. W porównaniu z nim Loelia w swej koszulce poczuła się bardziej niekonwencjonalnie, ale ponieważ nie była z natury nieśmiała, szybko nabrała odwagi.

Na stole, na środku pokoju stał duży kandelabr, a wokół mnóstwo orchidei.

- Chcę abyśmy czuli się swobodnie i dlatego nikt nam nie będzie przeszkadzał - odezwał się lord Braydon.

Loelii bardzo się ten pomysł podobał, ale zanim zdążyła o tym powiedzieć lord ją pocałował i nalał szampana mówiąc:

- Za ciebie, moja kochana! Za nas i naszą miłość, która przetrwa wieki.

- Cały czas się o to modłę.

- I tak się stanie - odparł lord i znów ją pocałował.

Loelia nawet nie pamiętała, co piła i jadła. Wszystko zdawało się zaczarowane, po kolacji lord poprowadził ją z powrotem do pokoju, w którym się przebierała. Teraz zasłony były zasunięte, Obok wielkiego złożonego łoża, ozdobionego kupidynami podtrzymującymi girlandy róż, stały dwie świece. Loelia myślała, że lord poprowadzi ją w jego kierunku, on jednak podszedł do okna i rozsunął kotary. Na zewnątrz zapadła już noc, nad drzewami unosił się srebrny księżyc. Gwiazdy błyszczały niczym diamenty i odbijały się wesoło w jeziorze niczym małe ogniste punkciki.

Lord objął Loelię, a ona powiedziała:

- Jest prześlicznie, wieczór idealny dla ciebie.

- I dla ciebie, moja piękna żono. Mam nadzieję, że kiedyś spodoba się to też naszym dzieciom.

Ta uwaga sprawiła, że Loelia oblała się rumieńcem. Schowała twarz w ramionach lorda.

- Muszę... ci coś powiedzieć - powiedziała miękko.

- Co takiego? Ale Loelia milczała.

- Czekam - ponaglił ją lord.

- Kiedy znalazłeś mnie... w tym straszliwym miejscu - zmieszala się Loelia - myślę, że... że zrozumiałam dlaczego mężczyźni tacy jak baron chodzą tam dla rozrywki, ale boję się, że uznasz mnie za ignorantkę, jeśli powiem, że nie wiem dokładnie... co się właściwie dzieje... gdy dwoje ludzi się kocha.

Lord objął ją mocniej. Ucałował jej włosy, nie spodziewał się usłyszeć takiego wyznania z ust kobiety, z którą się ożeni. Zazwyczaj spotykał się z doświadczonymi, zamężnymi kobietami, z którymi miewał liczne romanse. Nigdy więc nie pomyślał, że młoda dziewczyna może okazać się całkowicie niewinna. Uwielbiał Loelię dla jej czystości i chciał ją chronić, gdyż była w niebezpieczeństwie. Teraz ona wypełni wszystkie jego marzenia, gdyż będzie wiedziała o miłości to czego on sam ją nauczy. To będzie najbardziej fascynujące doświadczenie w całym jego życiu.

- Przypuśćmy - szepnęła Loelia - że cię rozczaruję?

Lord mocniej przycisnął ją do siebie.

- To niemożliwe!

- Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi podniósł ją i zaniósł do łóżka. Rozwiązał jej szlafroczek i ułożył ją na miękkich poduszkach, przykrywając kołdrą. Potem przeszedł na drugą stronę łóżka, ściągnął z siebie szlafrok i położył się obok. Przytulił ją mocno. Czuł jak cała drży i to wywołało w nim uczucie



jakiego nigdy jeszcze nie doznał. Spalał go płomień pożądania tak innego od wszystkiego, co kiedykolwiek czuł do kobiety.

- Zadałaś mi pytanie, moja najdroższa - powiedział - i teraz na nie odpowiem. Nigdy nie mógłbym się tobą znudzić, ponieważ jesteś moja i ponieważ kocham cię nie tylko za twoją urodę i piękne ciało, ale również za coś dużo, dużo więcej.

- Powiedz... co to takiego - błagała Loelia:

- Po pierwsze kocham cię za inteligencję i mądrość - pocałował ją w czoło i mówił dalej: - Potem za uczucie, jakie żywisz do twego ojca i sposób, w jaki myślisz bardziej o nim niż o sobie. Nie znałem jeszcze nikogo, kto tak mało dbałby o siebie, o wygląd czy ubiór, a koncentrował się na rzeczach naprawdę ważnych.

- Dopiero kiedy cię pokochałam, zaczęłam się martwić o swój wygląd... chciałam ci się podobać.

- Wtedy kochałem już nie tylko twoją twarz, ale i serce, i jak ci już powiedziałem mój aniołku, duszę.

Przesunął usta po policzku dziewczyny i zaczął dotykać jej ciała.

- Wszystko to należy teraz do mnie i jest takie cenne i tak bardzo podniecające, że nigdy mi się nie znudzi.

Spojrzał na nią w świetle świec, których blask dochodził zza kotar osłaniających łożo. Światło księżycy, które powoli wkradało się przez okna, dodawało wszystkiemu magicznego czaru. Lord nie mógł się powstrzymać od myśli, że to, co zrobi może przestraszyć Loelię. Powiedział więc, chociaż nie było łatwo ująć to w słowa:

- Nie bój się kochanie, będę bardzo delikatny. Loelia spojrzała na niego wesoło i powiedziała:

- Jakżebym mogła się ciebie bać? Uwielbiam cię... wprost ubóstwiam. Bałabym się tylko gdybyś miał przestać mnie kochać.

- A to jest niemożliwe. Będziemy się zajmować tylko naszą miłością i to miłość teraz sprawia, że tak bardzo chcę, abyś była moja.

Loelia przysunęła się bliżej.

- Proszę... naucz mnie... kochać cię tak, jakbyś chciał i tak abyś nie przestał mnie kochać.

Nie zdążyła już nic więcej powiedzieć, gdyż lord zaczął ją całować. Najpierw spokojnie, a potem gwałtowniej. Loelię spalał ogień będący równocześnie siłą i cudowną magią miłości. Czuła jego gorące wargi, które rozpalały iskry.

Nie musiał jej uczyć, bo całe jej ciało odpowiedziało na jego wezwanie. Było to tak naturalne i tak doskonałe, że oboje tego bardzo pragnęli.

- Kocham cię - szeptała Loelia. - I będę kochać, aż moja miłość wypełni cały świat.

- A ja cię uwielbiam i ubóstwiam. Jesteś moja, kochanie, i nigdy cię nie stracę.

Jako że ich oboje palił płomień, wkrótce stali się jednością. Cudowna światłość okryła ich ciała i uniosła ku gwiazdom wraz z ekstazą miłości, która pochodzi od Boga.